

Wszystko, co najlepsze w kulturze w 2011 roku

PRZE KROJ

NR 1 (3470) / 2 STYCZANIA 2012 / CENA 3,99 ZŁ
WWW.PRZEKROJ.PL w tym 8% VAT



024125

12 ważnych ludzi

na rok 2012



INDEKS
371424

9 770033 248205

ISSN 0033-2488

0 1

Akc. 92/2013

Let's go.

Poznaj korzystną ofertę na modele z rocznika 2011

To dzięki przełomowym rozwiązaniom technicznym, które tworzą historię motoryzacji, kierowcy tak świetnie czują się w każdym z modeli Audi. Napęd na cztery koła quattro®, którego zastosowanie zrewolucjonizowało rajdy samochodowe, innowacyjne silniki TDI oraz TFSI, które zapewniają sportowe osiągi i jednocześnie wysoką wydajność, wyrafinowana stylistyka, najwyższej jakości materiały... a także wiele innych rozwiązań Audi gwarantuje wyjątkową przyjemność jazdy. Przyjdź i skorzystaj z bardzo atrakcyjnej oferty na modele Audi z rocznika 2011. Poznaj najbardziej wyrafinowane osiągnięcia motoryzacji!



Infolinia: 801 200 500*

*Opłata jak za 1 jednostkę połączenia lokalnego.

Audi
Przewaga dzięki technice





ŁUDZIE 2012

- 6 **Kto w tym roku zmieni oblicze świata; czy strefa euro się rozpadnie, a Barack Obama straci władzę w USA?** Kto podbije Bliski Wschód, a kto może wywołać wojnę? Tekst Łukasz Wójcika
- 7 **Ron Paul, kandydat na prezydenta USA, to szalony liberał czy nadzieja Amerykanów na stabilizację?** – pyta Łukasz Wójcika
- 9 **Xi Jinping przejmuje w Chinach władzę w stylu szefa wielkiej korporacji.** Jakie będą Chiny pod jego przywództwem – zastanawia się Radosław Pyffel
- 10 **Jeśli w maju pokona w wyborach prezydenckich Nicolasa Sarkozy'ego, Unia Europejska może tego nie przetrwać. Czy francuski socjalista François Hollande będzie grabarzem Europy?** Tekst Jędrzeja Bieleckiego
- 12 **Donald Tusk wyrasta na europejskiego przywódcę** – pisze Paweł Świeboda. – Jego pozycja w Brukseli może w tym roku osiągnąć apogeum
- 14 **Czy odrzucony przez Europę premier Turcji Recep Tayyip Erdoğan będzie panem na Bliskim Wschodzie?** – pyta Łukasz Wójcika
- 16 **Kim Dzong Un ma 30 lat i podobno kocha NBA.** Czy to oznacza, że zmieni Koreę Północną tak, jak chciałaby reszta świata? Spodziewajmy się raczej dalszych prac nad programem atomowym i podtrzymywania izolacjonizmu – pisze Rafał Kostrzyński
- 17 **Szef Międzynarodowej Agencji Energii Atomowej Yukiya Amano w 2012 roku może dać Ameryce uzasadnienie wojny z Iranem.** Tekst: Łukasz Wójcika
- 18 **W 2012 roku Mario Draghi, nowy prezes Europejskiego Banku Centralnego, ma zadanie tyleż łatwe do opisania, co piekielnie trudne do wykonania: ocalić Europę** – twierdzi Paweł Moskałowicz
- 20 **Trząś światem, trzęsie i trząść będzie** – Lloyd Blankfein, prezes Goldman Sachs, jednego z największych banków inwestycyjnych globu, nie zmieni stylu działania – pisze Paweł Rożyński
- 21 **Zygmunt Solorz-Żak jeszcze namiesza w polskiej gospodarce** – zapewnia Paweł Rożyński
- 22 **Kim jest nowy świat? Portret Oburzonego** kreśli Beata Chomętowska
- 23 **Janusz Palikot – czy zmieni polską lewicę** – zastanawia się Adam Ostalski
- 24 **Grzegorz Miecugow rozmawia z Jackiem Hołówką**

CYWILIZACJA

- 26 **Czy ostatecznie podbijemy kosmos, a niewidomi dzięki udoskonaleniu sztucznego oka wreszcie zaczną widzieć?** Olaf Szewczyk o bliskiej przyszłości nauki, która jest zasadniczo nieprzewidywalna

KULTURA

CO BYŁO W 2011, CO BĘDZIE W 2012

- 28 **Film 2011:** Karolina Pasternak o roku kryzysu, w którym zdarzały się perły



Projekt okładki: Wojciech Piechoński (with a little help from his friends at the „Przekrój” Studio Kraków RP)

PRENUMERATA TYGODNIKA „PRZEKRÓJ”
PRZEZ WYDAWICTWO – należy dokonać przelewu na konto: Presspublica Sp. z o.o., ul. Prosta 51, 00-838 Warszawa, Allior Bank SA 80 2490 0005 0000 4600 1542 1792 i wysłać dowód wpłaty faksem: 22 525 99 48 lub e-mailem: prenumerata@przekroj.pl. Cena prenumeraty w 2012 r.: rocznej – 166,40 zł, półrocznej – 83,20 zł, kwartalnej – 41,60 zł. Zamówienie na prenumeratę należy składać: e-mailem: prenumerata@przekroj.pl lub faksem: (22) 621 22 61. Dodatkowe informacje pod nr. telefonu 800 120 195. Prenumerata kolporterska: oddziały Ruch SA www.prenumerata.ruch.com.pl, urzędy pocztowe. Prenumerata e-wydania: www.egazety.pl. Prenumerata zagraniczna: Ruch SA www.ruch.pol.pl; (22) 693 67 75, (22) 693 67 82, (22) 693 67 18

DOSTĘP NA STRONĘ WWW I WERSJĘ NA IPADA
Cena abonamentu na iPada i w Internecie: tygodniowy – 3,69 zł, kwartalny – 30,75 zł; roczny (z rabatem 30 proc.) – 99 zł. Do wykupienia na www.przekroj.pl oraz w App Store. Informacje: wsparcie@przekroj.pl

- 29 **Film 2012:** Ola Salwa o liście premier, na której znalazło się dużo nowych produkcji starych mistrzów
- 30 **Muzyka 2011:** Jarek Szubrycht z rezygnacją o końcu muzyki popularnej i o tym, że wszystko już było
- 31 **Muzyka 2012:** Angelika Kucińska, Marcin Flint, Łukasz Dunaj próbują przewidzieć, czym zaskoczy wysokobudżetowy pop, które drzwi wyważy alternatywa, kto będzie rządził światem metalu, a kto hip-hopu
- 32 **Sztuka 2011:** Stach Szablowski o 400 wydarzeniach w 10 stolicach, czyli polskiej sztuce popularyzowanej w ramach naszej prezydencji w UE, oraz o odrobinie rock'n'rolla w wydaniu Drozda i Libery
- 33 **Sztuka 2012:** Stach Szablowski o nadziejach związanych z Biennale Sztuki Współczesnej w Berlinie
- 34 **Książki 2011/2012:** Marcin Sendeci zbudowany mnogością ciekawych wydań i z wielką niecierpliwością oczekujący już w lutym „Dziennika” Mirona Białoszewskiego
- 35 **Komiks 2011/2012:** Sebastian Frąckiewicz o niespodziankach, paradoksach, awanturach i świetnych polskich „Złotych Pszczołach”, i o przyszłorocznych marzeniach, między innymi o tłumaczeniu „Safe Area Goražde”
- 36 **Gry 2011/2012:** Olaf Szewczyk o ubiegłorocznych rządach „Minecrafta”, „Dark Souls” i „Wiedźmina 2” oraz o nadchodzącym trendzie kieszonkowych konsoli
- 37 **Teatr 2011/2012:** Jacek Wakar przekonuje, że miniony rok należał do Moniki Strzępki i Pawła Demirskiego, zaś przyszłym zawładnie Maja Kleczewska

OTWÓRZ OCZY

- 38 **Kiedy reporter Weegee zmęczył się fotografowaniem trupów** na Manhattanie, wyjechał pstrykać zdjęcia gwiazdom w Hollywood. O papie wszystkich paparazzich pisze Anna Jastrzębska

RECENZJE

- 42 **Teatr:** Wakar o krakowskiej Boskiej Komedii
- 44 **Film:** Pasternak o „W ciemności” Agnieszki Holland
- 45 **Muzyka:** Winczewski o niezmiennie wysokiej formie The Roots

ZAWSZE W PRZEKROJU

- 46, 47, **Rozmaitości**
- 48, 50 z krzyżówką, Lewomyślnie Kurkiewicza, Ładnymi rzeczami Salwy, kuchnią Gesslera i Kronikami popkultury Trzcinańskiego
- 49 **Stopklatka**
- 3, 50 **Raczkowski**

PRZEKROJ

ADRES REDAKCJI:
ul. Prosta 51, 00-838 Warszawa
faks: 22 628 05 88, 22 463 00 00;
automatyczna centrala telefoniczna:
22 4630 + numer wewnętrzny; łączenie
przez telefonistkę 22 628 34 01 do 09,
www.przekroj.pl
e-mail: redakcja@przekroj.pl
lub imie.nazwisko@przekroj.pl

REDAGUJE ZESPÓŁ:
Piotr Witek (p.o. redaktor naczelny)
Joanna Grochowska, Marcin Kijowski
(sekretarze redakcji)

PRZED WSKAZANIEM:
wydarzenia@przekroj.pl,
Łukasz Wójcika, Agnieszka Fiedorowicz,
Joanna Woźniczko-Czeczott,
Joanna Dargiewicz-Rozeł, Agata Jankowska,
Marcelina Szumer

CYWILIZACJA OD ŚRODKA:
nauka@przekroj.pl,
Olaf Szewczyk, Piotr Stanisławski,
Irena Cieślinska, Piotr Kossobudzki,
Paweł Franczak

KONIEC Z KULTURĄ:
kultura@przekroj.pl,
Jacek Tomczuk, Jacek Wakar, Marcin Sendeci,
Karolina Pasternak, Kuba Dąbrowski,
Łukasz Drewniak, Sebastian Frąckiewicz,
Mariusz Herma, Anna Jastrzębska, Ola Salwa,
Jacek Sieradzki, Jarosław Szubrycht,
Bartek Winczewski

SEKRETARIAT:
Edyta Matusz-Bulińska, Karolina Mazur,
tel. 12 394 73 32

ROZMAITOŚCI, KRZYŻÓWKI:
rozrywka@przekroj.pl, Marcin Pieszczyk;
stałe współpracuje Kaliber 45

PRACOWNIA GRAFICZNA:
Wojtek Piechoński (szef),
Anna Kondek, Karolina Kowalska,
Wojciech Brdej, Łukasz Leleńkiewicz,
Marcin Hernas

FOTODYDZIA: foto@przekroj.pl,
Michał Okta, Karolina Sekula

KOREKTA:
Alicja Listwan, Monika Ples, Katarzyna Rycko

PROJEKT GRAFICZNY:
Kasper Skirgajło-Krajewski

ARCHIWUM: Dominika Bok

OBROBKA ZDJĘĆ, PRZYGOTOWANIE DO DRUKU: Paweł Wójcika

STRONA INTERNETOWA I IPAD:
Marcin Cichoński, Marcin Kijowski (szefowie)

REDAKTORZY: Monika Hrycko-Skowron,
Tomasz Róg, Maria Włodkowska

GRAFICY: Katarzyna Bażela, Jakub Bieda,
Martyna Marzec

MULTIMEDIA: Anna Bajorek, Mikołaj Tocki

WYDAWCA:
Presspublica Sp. z o.o.
ul. Prosta 51,
00-838 Warszawa

PREZES ZARZĄDU:
Dariusz Leśniak

WICEPREZESI:
Jan Godłowski, Artur Sierant,
Tomasz Wróblewski

PROMOCJA I MARKETING: promocja@przekroj.pl,
Jakub Maszkowski, Milena Ostółska

BIURO REKLAMY:
Presspublica Sp. z o.o.
ul. Prosta 51, 00-838 Warszawa
faks: 22 628 05 88, 22 463 00 00;
automatyczna centrala telefoniczna:
22 4630 + numer wewnętrzny; łączenie
przez telefonistkę 22 628 34 01 do 09

KIEROWNIK ZESPÓŁU SPRZEDAŻY:
Filip Weichert – 22 463 01 88
reklamainfo@presspublica.pl

DRUK: RR Donnelley

Artykułów niezamówionych nie zwracamy. Redakcja zastrzega sobie prawo do zmian i skrótów w nadesłanych artykułach i listach.

PRZEKROJ

Założył w roku 1945 w Krakowie redaktor Marian Elle

„Przekrój” w sieci

OLAF SZEWCZYK

Stasiek nie lubił sylwestra. Cierpiał na mizantropię – przypadłość powszechną bytów inteligentnych długo żyjących wśród ludzi – poza tym społeczny przymus zabawy przyprawiał go o chandrę. Nie chłodził zatem Stasiek szampa. Wahał się, czy umilić wieczór bitewną adrenaliną gry w sieci („Counter-Strike”?, „Star Wars: The Old Republic”?) – oto jest dylemat), czy może ukoić duszę przed snem paroma stronami „Smutku tropików”. Albowiem Lévi-Strauss nadawał Staśkowej melancholii szlachetny rys, przez co stawała się mniej uciążliwa. Gdy ktoś zaskrobał zniechęca do drzwi, Stasiek zadygotał w ataku paniki. Otworzył jednak. I zdębiał. Po wycieraczce przebiegał nerwowo łapkami wypisz wymaluj Stasiek z zamierzczłej młodoci. Przepasany szarfą „Stasiek Brontozaur 2012” wbił w gospodarza ślepią swe ufne, jako te psie, skamłające, czy może wejść. A juźci. – Bo ja tu teraz mam mieszkać... – pisał z zakłopotaniem. Jestem Stasikiem na nowy rok. Stary Stasiek jeno chrząknął. Niezręczna sytuacja krępowała obu. Położył młodego w koszyku po Sabie, która była zdechła jesienią. Młody nie skomentował. Mijały dni. Stasiek 2012 czuł się coraz bardziej w sobie. Już nie pytał, czy może coś zeżreć z lodówki. Przeniósł się z kosza w przedpokojku na sofę przed telewizorem. Razem obejrzeni „Ojca chrzestnego”. Przy słowach: „To nic osobistego” przeciągle spojrzeli na seniora. Stasiek 2011 udał, że nie zauważył. Młody był jakiś inny. Poważny, by nie rzec – zrezygnowany, ponury, zaskakująco ekscentryczny. Gdy w końcu szepnął, że czas do roboty, nie zadzwonił po taxi. Cztery jeźdźców przybyło ponurem, wiodąc dla Staśka rumaka. A spod kopyt szły skry, a ogień buchał z pyska, a echo niosło: gorze!



Czy zdążył o tym donieść FB, Twitter, G+? www.przekroj.pl? Kto wici słał na redakcja@przekroj.pl?

WESOŁO PODSKAKUJĄC NA MYŚL, ŻE OTO ZNÓW DOŻYLIŚMY NOWEGO ROKU, NIE PISZEMY...

...że prezydent Komorowski, ani chybi wzorem najsłynniejszego swego poprzednika, też postanowił przejść do historii, przeskakując. I to nie byle plot, a Mur Chiński. Bo frapuje nas, co naprawdę oznacza podpisanie w Pekinie porozumienie między naszymi – od-tąd bratnimi? – krajami. Czy „wzajemne poszanowanie mimo różnic politycznych” należy czytać: „Nic nam do tego, że tamiecie prawa człowieka, bylebyście robili z nami interesy”? Czy akceptacja dla „polityki wewnętrznej i zewnętrznej” prowadzonej „zgodnie z uwarunkowaniami” to obietnica skorzystania z szansy, by siedzieć cicho, gdy Chiny znów będą krwawo tłumić protesty

w okupowanym Tybecie? Nie mamy pewności, jaki naprawdę kurs przyjął prezydent Komorowski wobec Państwa Środka. Nie mamy pewności, jaki jest według Pana Prezydenta aktualny kurs przyzwoitości do Juana.

...że skakanie jest au courant także wśród zio-brystów. Rozweseliło nas doniesienie, że do partii Ziobry, której kongres założycielski zapowiedziano na luty, przystąpić ma ponoć imc Gabriel „Przedawkował proszki” Janowski, znany z popularzacji skocznych tańców ludowych w Sejmie. Bo nie jest ważne, jak skończy nowa polska partia pravicowa (wszak wszystkie kończą tak samo). Ważne, jak za-czynna. Z przytupem.

...że idol prawdziwych polskich patriotów Piotr S. „Staruch”, sądzony za rozbój i pobicie, zaproponował dobrowolne poddanie się karze dwóch lat więzienia w zawieszaniu na lat pięć, a sąd ową propozycję w łaskawości swej przyjął. Bo, skonfundowani, nie wiemy, co teraz wypada nam myśleć, i w napięciu czekamy na ostateczną wykładnię owego szokującego zwrotu akcji. Poseł Tomasz „Agent Tomek” Kaczmarek, była wiceminister sprawiedliwości Beata Kempa, były wicemarszałek Senatu Zbigniew Romaszewski i inni politycy, którzy składali za Piotra S. poręczenia, na pewno nam to jakoś wyjaśnią. Te-

sknie nastłuchując słów prawdy, nieśmiało obwiniamy spisak i sztuczną mgłę.

...że wzruszył nas do łez dziwnie znajomy artykuł o Jane Birkin, który uświetnił Onet.pl tuż po ukazaniu się w „Przekroju” wywiadu z Jane Birkin. Bo cieszy nas, że koledzy z Internetu wiedzą, gdzie szukać inspiracji. Polecamy też inne nasze wywiady, mili adepci dziennikarskiego fachu! Na ponoworoczną zga-gę jak znalazł.

...że w Nowym Roku 2012 życzymy Wam z całego serca, Kochani Czytelnicy, tego, czego najbardziej pragniecie: przetrwania.

PO. SZEFA O'LOVE

MAREK RACZKOWSKI



LAST MINUTE KRZYSZTOF PŁYTA

Posylwestrowa zagadka: na co należało położyć nacisk, żeby zabawa nie była nudna? Najczęściej na pilota.

12 postaci, które zawładną rokiem 2012

ŁUKASZ WÓJCIK

Wbrew marksizmom, dla których liczy się tylko logika zmian, bazy i nadbudowy. Wbrew Tołstojowi, który w „Wojnie i pokoju” przekonuje, że znaczenie jednostki jest iluzją, bo nawet te największe są tylko niewolnikami historii. Wbrew tym wszystkim opiniom my uważamy, że człowiek jest najważniejszy.

Determinizm rzadzi historią, dopóki nie napotka jednostki wybitnej albo takiej, której władza wpadła w ręce wybitnie przypadkowo. W tym numerze piszemy o 12 postaciach, które w 2012 roku zderzą się z tym determinizmem i będą próbowały zawrócić jego bieg, o ludziach, którzy zaważą na obliczu tego roku. Może nawet o nich nie słyszeliście.

Część z nich przeżyje rok 2012 między młotem a kowadłem. Między amerykańską i izraelską presją a irańskim programem atomowym - to szef Międzynarodowej Agencji Energii Atomowej Yukiya Amano. Albo między fiskalnymi purystami z Berlina i resztą rozpuszczonej Europy - jak Mario Draghi, prezes Europejskiego Banku Centralnego.

Inni, tak jak przyszedł chiński lider Xi Jinping czy nowy władca Korei Północnej Kim Dzong Un oraz szef największego banku inwestycyjnego świata Goldman Sachs Lloyd

Blankfein, dostali lub dostaną tak wielką władzę, że będą decydować o życiu, dobrobycie, a czasem i śmierci milionów ludzi.

Na naszej liście są też tacy, którzy na swoją pozycję w 2012 roku ciężko zapracowali. Turcki premier Recep Tayyip Erdoğan zbudował sobie tak potężne wpływy na Bliskim Wschodzie, że w tym roku to raczej Turcja zrezygnuje z Unii Europejskiej, a nie na odwrót. Donald Tusk zyskał zaufanie

europczyków dyskretnie i po menedżersku, kierując polską prezydencją w Radzie Unii Europejskiej. W nowym roku, w obliczu kolejnych europejskich podziałów, to zaufanie może okazać się nie do przecenienia.

Jeśli natomiast Zygmuntovi Solorzowi powiedzie się interes jego życia, to w ciągu najbliższych 12 miesięcy ten były handlarz trabantami zostanie najbogatszym człowiekiem w Polsce.

Mamy też buntowników. Zbiorowego Oburzonego, który ma już dość skorumpowanych rządów, chciwych bankierów i jeśli uważacie, że już się wykrzyczał, to zobaczcie, co będzie w 2012 roku, gdy kryzys rozszałeje się na dobre.

W Polsce ten bunt będzie próbował wykończyć politycznie Janusz Palikot. Jeśli mu się uda, na lata zmieni naszą scenę polityczną. Zupełnie inaczej zbuntowany jest Ron Paul, republikański kandydat na prezydenta USA. Oburza go to samo, ale zamiast domagać się pomocy od państwa, chce, aby rządy w końcu zostawiły ludzi w spokoju, bo ci sami sobie najlepiej poradzą.

Rok 2012 będzie należał do tych ludzi. Poznajcie ich.



Ostatni Amerykanin

Zmieni Amerykę, nawet jeśli nie zostanie prezydentem.
RON PAUL, republikański kandydat do Białego Domu

ŁUKASZ WÓJCIK

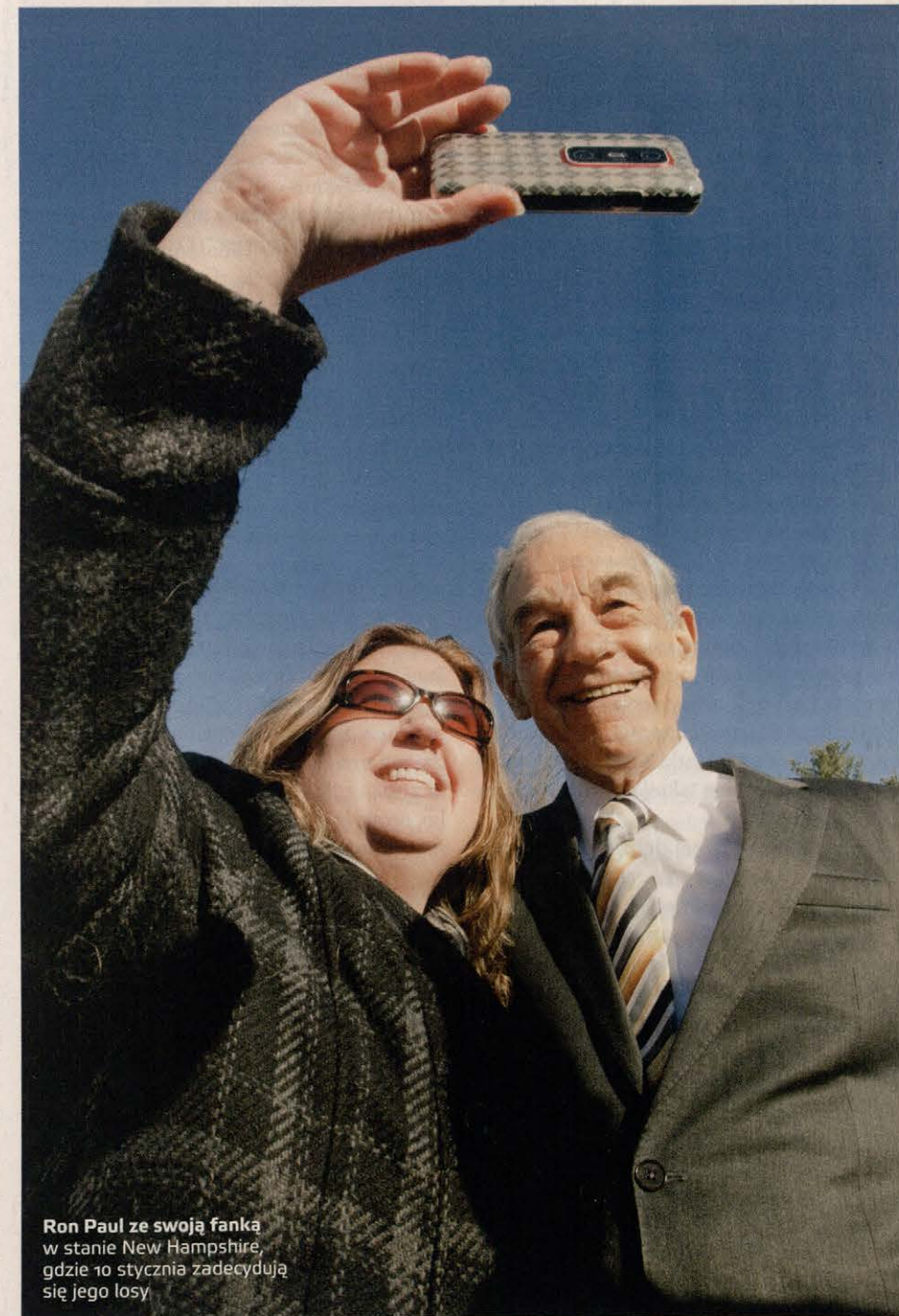
Gdyby mógł, natychmiast zlikwidowałby karę śmierci, Bank Rezerwy Federalnej i ograniczenia prawa do posiadania broni. CIA, zakazy palenia amerykańskiej flagi i nawoływania do nienawiści. Całą pomoc zagraniczną i pobór do wojska nawet w czasie wojny. Jak i prawo antynarkotykowe, wojny z terrorem i pornografią, wojnę w Afganistanie i podatek dochodowy.

Jeszcze do niedawna najważniejsze amerykańskie media ignorowały kongresmena Rona Paula, uważając go za niewybieralnego wariata. Nie da się ukryć, że to nie jest normalny kandydat na prezydenta USA. Ale też Ameryce dziś daleko do normalności. W pewnym sensie pasują do siebie.

Według większości sondaży 3 stycznia Paul wygra pierwsze republikańskie prawyborczy w stanie Iowa. To wciąż jeszcze niczego nie przesądza - zanim zostali prezydentami, przegrali tam i Bill Clinton, i George W. Bush. Ale wszyscy, którzy wygrali w Iowa i tydzień później do Białego Domu. Paul więc nie jest bez szans, bo motto stanu New Hampshire brzmi: „Żyj wolnym albo umieraj”, czyli mniej więcej pokrywa się z jego światopoglądem.

Wariat miał rację

Przez ponad trzy dekady swojego politykowania ten 76-letni ginekolog był w Waszyngtonie traktowany jako kompletny outsider, mimo że 12 razy zdobył miejsce w Kongresie. Jego libertariańskie poglądy na wszystko przyciągnęły doń niewielką, zupełnie zaprzędaną grupę wyznawców, którzy kilka razy do roku spotykali się na wspólnych sesjach nienawiści do rządu federalnego. Ten „ostatni prawdziwy Amerykanin”, jak nazywają go fani, odszedłby w spokoju na emeryturę, gdyby nie kryzys, gospodarczy i polityczny. Nagle okazało się, że niewybieralny wariat w wielu sprawach miał rację.



Ron Paul ze swoją fanką w stanie New Hampshire, gdzie 10 stycznia zadecydują się jego losy

Fot. M. Głuchowski, na podstawie fot. Patrick Kovarik/APP Photo/EN, AFP/East News, Xinhua/Photoshot/Reporter, Samuel Kubani/APP/EN, Jan Bielecki/EN, Melissa Golden/Redux/EN, Artur Barbarowski/EN, AFP/Fotobank/EN, Action Press/EN, APP/EN, Daniel Roland/APP/EN

→ Paul pisał na przykład w książce „The Revolution: A Manifesto”: „Amerykański system polityczny ulega powolnej samozagładzie, szczególnie na poziomie elit politycznych”. Gdy popatry się na pozostałych republikańskich kandydatów, trudno się z tym nie zgodzić. Herman Cain, jak w starym dowcipie, nie rozróżniał Iraku od Iranu, ale walczyłby dalej, gdyby do rezygnacji z kandydowania nie zmusiły go kolejne sensacje o jego podbojach seksualnych. Mitt Romney wygląda, jakby wyszedł z fabryki amerykańskich prezydentów, ale nudzi jak Fidel Castro. Wielokrotnie oskarżany o łapówkarstwo Newt Gingrich potrafił w jednym tygodniu być za obowiązkowym ubezpieczeniem zdrowotnym i przeciw niemu.

Ron Paul od 35 lat mówi dokładnie to samo, bez względu na konsekwencje, przez co między innymi jeszcze żaden sztabowiec nie wytrzymał z nim całej kampanii. We wrześniu zapytany przez dziennikarza w najwyższej porze oglądalności, co ma zrobić nieubezpieczony, śmiertelnie chory człowiek, jeśli państwo się nim nie zajmie, odpowiedział: „Ponieść odpowiedzialność. Na tym polega wolność – sam podejmujesz decyzje, sam ryzykujesz”.

Mimo że jest konserwatywnym chrześcijaninem, uważa że małżeństwo w jakiegokolwiek konfiguracji to nie sprawa państwa. Mimo że reprezentuje rolnicze przedmieścia Houston, chce zupełnej likwidacji dopłat dla rolników. Mimo że jest lekarzem, domaga się pełnej legalizacji nawet twardych narkotyków, bo ludzie mają również prawo do szkodzenia samym sobie. Jako jedyny głosował przeciwko uhonorowaniu przez Kongres Matki Teresy – bo konstytucja nie przewiduje takiej prerogatywy władzy ustawodawczej.

Gdy podczas kolejnej debaty prowadzący zapytał go o zamachy z 11 września, wszyscy już wiedzieli, co się święci, bo na to pytanie zawsze odpowiada tak samo: „Zamachowcy nie przyjechali do nas z powodu naszego bogactwa i wolności. Zaatakowali nas, bo okupujemy ich kraj”.

Wnioskując po spojrzeniach prawicowych kontrkandydatów, Paul tylko cudem uniknął linczu przed kamerami, choć dzieła dokonali później komentatorzy telewizji Fox, którzy zarzucili mu sprzyjanie Al-Kaidzie. Ale z odsieczą przyszli Paulowi młodzi Amerykanie. Po debacie kilkadziesiąt tysięcy osób parło go na Facebooku. W ciągu jednego dnia dostał od nich aż sześć milionów dolarów na kampanię.

– To prawdziwy fenomen, że najstarszy kandydat jest jednocześnie najpopularniejszym kandydatem wśród młodych ludzi – mówi doktor Steven Casey z London School of Economics. – Nie jestem jego zwolennikiem, ale ten facet naprawdę wierzy w to, co mówi. Młodzi natychmiast wyczuwają tę szczerość. Jego słowa nie są jedynie przekazem marketingowym, ale mają rzeczywiste znaczenie. Trzeba go słuchać do końca. Jeśli mówi, że państwo nie powinno ratować nieubezpieczonych, to nie znaczy, że nie ma serca. On sam raz w tygodniu przyjmuje pacjentów za darmo. Wierzy, że ludzie zachowują się najlepiej, jeśli do niczego nie będą zmuszani.

Odpowiadając na pytanie o zamachy z 11 września, również kierował się tą wiarą. Chciałby natychmiastowego powrotu wszystkich amerykańskich żołnierzy do domu, bo „Ameryka nie ma prawa zmuszać innych narodów do czegokolwiek”. O ile w przypadku

” **Amerykański system ulega powolnej samozagładzie, szczególnie na poziomie elit politycznych**

RON PAUL

pozostałych republikańskich kandydatów nie ma pewności, czy zależy im bardziej, żeby zostać prezydentem USA, czy premierem Izraela, Paul jest za natychmiastowym zakończeniem pomocy finansowej dla Tel Awiwu. Twierdzi również, że ostatnią legalną, czyli wypowiedzianą przez Kongres, wojną Ameryki była ta z 1942 roku przeciwko Rumunii. Wszystko, co się stało później, było zwykłym łamaniem konstytucji.

Szok zamiast rekonwalescencji

W trakcie obecnej kampanii okazało się, że takie hasła popierają nie tylko członkowie Partii Herbacianej, ale również aktywiści Occupy Wall Street. Ciepłych słów nie żałuje mu ani arcyprawicowy komentator polityczny Glenn Beck, ani guru światowego alterglobalizmu Noam Chomsky. „Paulowi udało się rzecz niemożliwa”, pisał w grudniu w „The New York Times” Jeff Zeleny. „Zyskał poparcie oburzonych zarówno z prawej, jak i z lewej strony. Głos oddany na niego to dziś głos protestu”.

Jednak tym, czym Paul najbardziej zjednoczył oburzonych z obu stron sceny politycznej, jest krytyka dysfunkcjonalnego

systemu finansowego. Amerykański dług publiczny kilka miesięcy temu przebił 15 bilionów dolarów, a pomimo kryzysowego wzmocnienia w gospodarkę ponad dwóch bilionów w ostatnich trzech latach PKB wzrósł nieznacznie, a zaczynają szaleć bezrobocie (prawie dziewięć procent) i inflacja (3,4 procent).

Jak pisał dwa miesiące temu w „Financial Times” znany komentator Martin Wolf: „Ameryki już nie da się naprawić konwencjonalnymi reformami (...). Nawet najbardziej restrykcyjny, republikański projekt budżetu zakłada, że dług publiczny wzrośnie o kolejne niebotyczne dziewięć bilionów dolarów do 2020 roku. Tu potrzebny jest szok, a nie rekonwalescencja”.

Szokiem byłoby z pewnością zwycięstwo Rona Paula. Od połowy lat 70. przekonywał, że taka polityka finansowa musi się źle skończyć. Dlatego w swojej bestsellerowej książce „End the Fed” postuluje likwidację Rezerwy Federalnej, czyli amerykańskiego banku centralnego, który według Paula jest głównym sprawcą kryzysu – poprzez niskie stopy procentowe i tak zwane ilościowe poluzowanie FED zalał rynek tanim pieniądzem, który powodował pęcznienie kolejnych baniek, a potem ich pękanie i kolejne kryzysy.

Alternatywą dla takiego modelu miałyby być, według Paula, dramatyczne obniżenie wydatków państwa, na przykład poprzez powrót wszystkich wojsk do kraju oraz likwidację połowy departamentów (amerykańskich ministerstw) i przywrócenie zasady standardu złota, czyli wymiennalności papierkowych pieniędzy na realny kruszec. W tym przypadku ważniejsze od słowa „złoty” jest słowo „standard”, czyli niezależnienie wartości waluty od polityków i związanie jej z wartością jakiegoś trwałego dobra, niekoniecznie złota.

Łatwo napisać, trudniej zrobić. Nawet jeśli Paul wygra prawyboresy i w Iowa, i w New Hampshire, to republikańska nominacja wciąż może być poza jego zasięgiem, bo to, co proponuje, uderzy w cały establishment polityczny Ameryki. Dlatego nawet jeśli zostałby prezydentem, bardzo szybko Republikanie i Demokraci w Kongresie zjednoczyliby się przeciwko niemu i pozostałoby mu tylko weto.

Ale nawet jeśli Ron Paul w 2012 roku przegra wybory prezydenckie, to jego obecna kampania łamie bezalternatywność amerykańskiej polityki, w której ostatnio coraz trudniej było odróżnić prawicę od lewicy, a zmiana, która miała nastąpić po zaprzysiężeniu Baracka Obamy, przeszła niezauważona. Paul daje Amerykanom nową/starą alternatywę: „Życie wolni albo umierajcie”.

Nowy cesarz

XI JINPING nie odnosił większych sukcesów, ale też unikał wpadek. Dlatego zostanie w tym roku szefem chińskich komunistów

RADOSŁAW PYFFEL*



FOT. XINHUA/PHOTOSHOT/REPORTER

Współczesne Chiny często są porównywane do rozpędzonego bolidu – ich przywódca musi być trochę jak kierowca. Zdolny utrzymać pojazd w torze i dojechać do mety, mimo że nie kontroluje prędkości. Takich też liderów premiuje chiński system. Starsi przywódcy grzecznie odchodzą po dekadzie i są zastępowani przez młodych liderów, wytypowanych na drodze wewnętrzpartyjnych negocjacji. Chiny czeka właśnie taka zmiana za kierownicą. Xi Jinping, wiceprzewodniczący Chińskiej Republiki Ludowej, w 2012 roku awansuje na szefa partii komunistycznej i zajmie miejsce obecnego jej lidera Hu Jintao.

Xi to książętko, czyli dziecko partyjnych dygnitarzy, przedstawiciel urodzonej w latach 50. piątej generacji przywódców. Jego ojciec Xi Zhongxun towarzyszył Mao w Długim Marszu, a po 1949 roku budował razem z nim ChRL. W przeciwieństwie do innych książątek Xi nie studiował na Harvardzie, nie upijał się, nie jeździł szybkimi samochodami, ale cierpiał i ciężko pracował. W czasie wielkiej rewolucji kulturalnej (1966–1969) jego ojciec został skazany i potępiony za brak lojalności wobec Mao Tse Tung. W wyniku tych zdarzeń Xi do dziś nosi w sobie traumę, charakterystyczną dla wszystkich, którzy rządzą Chinami po Mao – pełno w nim lęku przed chaosem i rewolucją, a także przed śmiałyimi projektami, które kiedyś doprowadziły kraj do upadku, a miliony Chińczyków do osobistych tragedii. Tym właśnie tłumaczone są niezwykle ostrożność i umiarkowanie następnego przywódcy Chin.

Śmierć Mao i rozpoczęte przez jego następcę Deng Xiaopinga reformy oznaczały dla rodziny Xi lepsze czasy. W 1979 roku jego ojciec, jako gubernator prowincji Guangdong,

pierwszy w Chinach rozpoczął eksperymenty z wolnym rynkiem. Pomagał mu wtedy młody i obiecujący działacz Hu Jintao, którego Xi senior bardzo cenil i promował. Zresztą relacje osobiste to w Chinach podstawa sukcesu. Obecny prezydent Chin Hu od tamtego czasu stał się bliskim przyjacielem rodziny. To on zaproponował Xi na swojego następcę.

Xi Jinping doskonale radzi sobie z pokusami chińskiej wszechwładzy, czego nie można powiedzieć o wielu tamtejszych cesarzach, a później wielu funkcjonariuszach partyjnych. Nie tylko nie był autorem żadnego skandalu, ale często sam je zwalczał. Gdy w 2006 roku w Szanghaju wykryto, że władze miasta za łapówki zlecały swoim znajomym atrakcyjne zamówienia opłacane z miejskiej kasy, Pekin wysłał tam Xi, który szybko zrobił porządek. Był to dowód olbrzymiego zaufania jego zwierzchników, a zwłaszcza za prezydenta Hu. W nagrodę w 2007 roku wszedł do dziewięcioosobowego Biura Politycznego partii, a rok później otrzymał zadanie przygotowania igrzysk olimpijskich w Pekinie. I znów zdał egzamin.

System, w którym nowego przywódcę wybierają spośród siebie członkowie Politbiura, faworyzuje polityków podobnych do Xi: z niewielkimi sukcesami, ale bez poważnych wpadek. Wszędzie, gdzie rządził, nie miał opozycji, unikał skandali, nikomu się nie narażał. Nie jest być może wymarzoną kandydaturą na najwyższe stanowisko, ale prawdopodobnie zaakceptowały go wszystkie frakcje wewnątrz Komunistycznej Partii Chin, co już samo w sobie jest nie lada osiągnięciem.

Spokój, z którego słynie, może mu się przydać. Zwłaszcza w 2012 roku. Według wszelkich prognoz za czasów jego prezydentury Chiny będą się dalej bogacić, a ich wpływ na

świat będzie rósł. W tym kontekście nie uleć grzechowi pychy to jedno wyzwanie. Drugie, jeszcze trudniejsze, to rozsądnie pokierować procesem wychodzenia kraju na zewnątrz i stopniowego zwiększania wpływów na wszystkich kontynentach poprzez pożyczki i inwestycje. Przed takim zadaniem nie stał jeszcze żaden lider nie tylko Chin komunistycznych, ale w ogóle Chin w historii.

Na własnym podwórku nie będzie miał łatwiej. Chińczycy mają coraz większe aspiracje i wymagania. Często nie kryją swojego niezadowolonia, widząc miliardy dolarów wypływających z chińskiej rezerwy na podbój zagranicznych rynków, podczas gdy na prowincji wciąż jest wiele miejsc, do których nie dojeżdża karetka pogotowia, a dzieci otrzymują symboliczne wykształcenie.

Wyrównanie różnic w dochodach i poziomie cywilizacyjnym na tak olbrzymim obszarze będzie zapewne głównym zadaniem Xi. Zwłaszcza że bogata klasa średnia (kilkaset milionów ludzi) narzeka na biurokrację, wysokie podatki, zanieczyszczenie środowiska i niechętnie godzi się na ograniczanie przywilejów, których gwarantem jest partia strzegąca stabilności.

Przygotowując się do objęcia nowego stanowiska, Xi stanie przed wielką pokusą wzmocnienia swojej legitymacji za pomocą nieprzyjaznej retoryki pod adresem USA i Europy. Zaniepokojony dalszym rozwojem Państwa Środka, Zachód da ku temu na pewno wiele sposobności. Taka spirala niechęci może sprawić, że w Chinach dojdą do głosu nacjonaliści, którzy nienawidzą Japonii i nie ufają Zachodowi. Wtedy konfrontacja Chin z Zachodem byłaby wysoce prawdopodobna. Cała nadzieja w umiarkowanym, nieefektywnym, ale efektywnym Xi. Tak opisuje go żona, słynna w Chinach Peng Liyuan, celebrytka i gwiazda piosenki biesiadno-ludowo-patriotycznej: „Kiedy wraca do domu, zachowuje się jak zwykły mężczyzna. Nie odnoszę wrażenia, że mam do czynienia z przywódcą czy kimś takim. To po prostu mój mąż”.

Xi bowiem nie kieruje się żadną ideologią poza potrzebą zwiększania bogactwa, władzy i potęgi Chin. Wiadomo tylko tyle, że Chiny będą się zmieniać, być może w coraz szybszym tempie, a Xi jak kierowca bolidu będzie starał się nad tym zapanować i na każdym z wiraży podejmować pragmatyczne decyzje. Aby z jak najlepszym rezultatem dojechać do 2022 roku i oddać pojazd następnej ekipie.

* Autor jest szefem Centrum Studiów Polska-Azja.

Grabarz Europy

Jeśli francuski socjalista **FRANÇOIS HOLLANDE** w maju pokona Sarkozy'ego, Unia Europejska może tego nie przetrwać

JĘDRZEJ BIELECKI*

Na 2012 rok Angela Merkel i Nicolas Sarkozy już w najdrobniejszych szczegółach rozpisali kalendarz budowy federalnej Europy. Do końca stycznia ma być gotowy tekst traktatu o unii fiskalnej. 3 marca przyjmą go na szczycie w Brukseli przywódcy wspólnoty. Wejdzie on w życie po ratyfikacji już przez dziewięć krajów strefy euro, gdzieś w trakcie letniej kanikuly.

Ale to wszystko pod warunkiem, że wyborów prezydenckich we Francji nie wygra w maju kandydat socjalistów François Hollande, odsuwając Sarkozy'ego na polityczną emeryturę. Już tylko on jeden może stać się wyrazicielem sprzeciwu zdecydowanej większości Europejczyków przed przekazaniem Brukseli kluczowych kompetencji budżetowych, które są podstawą suwerenności każdego kraju.

Hollande dobrze wie, czym może się skończyć pójście pod prąd opinii publicznej w sprawach integracji europejskiej. Taki błąd omal nie złamał jego kariery politycznej w 2005 roku. Wówczas, wbrew znacznej części działaczy Partii Socjalistycznej, namawiał Francuzów do głosowania na „tak” w referendum nad europejską konstytucją. 55 procent rodaków nie posłuchało jego rady i opowiedziało się za odrzuceniem dokumentu, który także miał zbudować zręby federalnej Europy. Z tej porażki francuska lewica do tej pory się nie podniosła i wciąż pozostaje w opozycji.

Unia urzędników

Tym razem stawka jest jeszcze większa. Uzgodniony na szczycie w Paryżu 9 grudnia



Hollande w grudniu odwiedził zakłady Airbusa w Saint-Nazaire. Samoloty tam budowane są owocem europejskiej współpracy, którą ten socjalista może unicestwić

Foto: Patrick Kovarik/APP Photo/EN

2011 roku przez niemiecką kanclerz i francuskiego prezydenta projekt unii fiskalnej zawiera bowiem zapisy, przy których błędnie niedoszła konstytucja. Jeśli wszystko pójdzie po myśli Merkel i Sarkozy'ego, już za pół roku w krajach strefy euro decyzje o tym, jak mają wyglądać wydatki państwa, a więc także jego polityka obronna, edukacja, służba zdrowia czy zabezpieczenia socjalne, będą

podejmowali nie pochodzący z wyboru parlamentarzyści, ale urzędnicy Komisji Europejskiej w Brukseli.

– Co prawda swobodę ustalania własnego budżetu zachowają te kraje, które nie mają nadmiernego (60 procent PKB) długu i deficytu budżetowego (trzy procent PKB, a docelowo 0,5 procent). Jednak w tak komfortowej sytuacji są tylko dwa spośród 17 państw unii

walutowej – zwraca uwagę Cinzia Alcidi, ekspertka brukselskiego Centrum Europejskich Analiz Politycznych (CEPS).

Bruksela otrzyma bardzo wiele narzędzi wymuszenia nowych uprawnień. Jednym z nich jest możliwość przedstawiania własnych rekomendacji bezpośrednio deputowanym danego kraju (z pominięciem rządu!). W sytuacji gdy rynki finansowe są wyczulone na każdy sygnał nieodpowiedzialności finansowej danego państwa, zlekceważyć takie zalecenia będzie trudno.

Ale Komisja Europejska może też sięgnąć do bezpośrednich środków przymusu: nałożyć słoną karę za pominięcie jej poleceń (wstrzymanie takiej grzywny właściwie nie wchodzi w grę, bo wymagałoby sprzeciwu grupy państw mających kwalifikowaną większość w Radzie UE), a także pozwać grzesznika przed Europejski Trybunał Sprawiedliwości. – Czy w takim układzie można jeszcze mówić o tym, że Unia jest demokracją? Mam poważne wątpliwości – przyznaje Alcidi.

Oddanie ogromnej władzy brukselskim urzędnikom jest także wątpliwe z punktu widzenia merytorycznego. W końcu zespół sówicie opłacanych 30 tysięcy eurokratów w przeszłości nie zrobił niczego, aby ostrzec przed oszustwami Grecji i nadchodzącym kryzysem. A gdy ten już wybuchł, zespół José Manuela Barroso nie miał ani odwagi, ani pomysłu, jak tę zapaść przełamać. – Jedyną unijną instytucją, która stanęła na wysokości zadania, jest Europejski Bank Centralny – podkreśla Nicolas Veron, główny ekonomista Instytutu Bruegla w Brukseli.

Winną pokojówką

Jak to możliwe, że Komisja Europejska może zakończyć 2012 rok jako jedna z najpotężniejszych instytucji na świecie, choć żaden z jej urzędników przed nikim nie musi rozliczać się ze swoich działań? – Tryb podejmowania decyzji w sprawie unii fiskalnej okazał się z perspektywy Niemiec i Francji tak skuteczny, że w przyszłym roku mogą one w podobny sposób spróbować narzucić znacznie więcej rozwiązań, w szczególności dotyczących harmonizacji systemu podatkowego, norm czasu pracy i zabezpieczeń socjalnych. Artykuł 13. porozumienia już mówi o konieczności „dalszej integracji gospodarczej strefy euro” – zwraca uwagę Veron.

Taka perspektywa jest tym bardziej prawdopodobna, że na margines Unii została zepchnięta Wielka Brytania – jedyny kraj, który ma wystarczającą determinację i potencjał, aby przeforsować w Brukseli liberalne reformy

gospodarcze. W pozostałych dwóch największych państwach wspólnoty, Włoszech i Hiszpanii, nowi premierzy Mario Monti i Mariano Rajoy są zbyt zajęci szukaniem dróg ratunku przed bankructwem, aby sprzeciwić się planom Berlina i Paryża.

We Francji scenariusz byłby podobny, gdyby nie fatalne wydarzenie w nowojorskim Sofitelu 14 maja. Oskarżony o gwałt na pokojówkę szef Międzynarodowego Funduszu Walutowego i murowany kandydat socjalistów w wyborach prezydenckich Dominique Strauss-Kahn musiał wycofać się z polityki. Ekonomistę, który doskonale dogadywał się z Angelą Merkel i tak jak kanclerz zalecający ostrą kurację oszczędnościową, aby przełamać kryzys, zastąpił polityk będący jego niemal dokładnym przeciwieństwem.

François Hollande zaraz po tym, jak sam został kandydatem Partii Socjalistycznej w walce o prezydenturę, zapowiedział, że jeśli wygra wybory, cofnie większość reform, które Sarkozy z trudem przeforsował, żeby uzdrowić finanse państwa i zachować dla Francji najwyższy (AAA) rating wiarygodności kredytowej. Zdaniem nowego lidera lewicy trzeba z powrotem obniżyć wiek emerytalny do 60 lat (z 62), utworzyć dodatkowo 60 tysięcy etatów w samych szkołach podstawowych (Sarkozy wprowadził zasadę zachowania tylko co drugiego etatu w administracji zwalnianego przez osoby przechodzące na emeryturę) i odrzucić forsowany przez Pałac Elizejski pomysł wpisania do francuskiej konstytucji górnego pułapu długu.

„Chcę odbudować francuski sen, który pozwolił tylko pokoleniom Republiki wierzyć w równość i postęp” – zapowiada kandydat Hollande.

Rynki finansowe najbardziej niepokoi jednak zapowiedź Hollande renowacji porozumienia przywódców Unii Europejskiej z 9 grudnia. Miałoby ono dotyczyć trzech fundamentalnych punktów. Po pierwsze lider Socjalistów chce wymusić na Europejskim Banku Centralnym przejęcie roli gwaranta długu wszystkich krajów Eurolandu. To oznaczałoby nie tylko podważenie wiarygodności EBC, wybuch inflacji i odebranie krajom południa Europy wszelkiej motywacji do dalszego zaciskania pasa, ale także otwartą konfrontację Paryża z Berlinem.

Ostry spór z kanclerz Angelą Merkel gwarantuje także drugi postulat zgłaszany przez Hollande: emisja euroobligacji. Zgodnie z tą koncepcją zarówno kraje, które jak Niemcy trzymają się ostrych rygorów budżetowych, jak i te, które doprowadziły do rozpasania finansów publicznych, jak Włochy, miałyby wspólnie

sprzedawać papiery dłużne, a Unia, niczym za dotknięciem magicznej pałeczki, przekształciłaby się w rodzaj federalnego państwa z prawdziwym budżetem. Wreszcie pretendent do Pałacu Elizejskiego chce ustanowienia specjalnego funduszu dla ratowania najbardziej zadłużonych państw Eurolandu. Tyle że taki fundusz już istnieje (tak zwany Europejski Fundusz Stabilizacji Finansowej).

Faworyt mimo wszystko

Program Hollande rzeczywiście trudno uznać za receptę na przełamanie kryzysu. To raczej prowokacja, która może doprowadzić do niekontrolowanego rozpadu strefy euro. – Jeśli polityka zaciskania pasa zostanie odwrócona, a rating Francji będzie zdegradowany, kraj wpadnie w pętlę długu, bo inwestorzy zaczną mu pożyczka pieniądze na znacznie gorszych warunkach – ostrzega Veron. – Runie cały plan ratowania strefy euro, bo ostatni obok Niemiec duży kraj unii walutowej mający zaufanie inwestorów nie będzie już mógł gwarantować pożyczek udzielanych przez Brukselę – dodaje.

Mimo to François Hollande jest faworytem tegorocznego wyścigu do Pałacu Elizejskiego.

Jak to możliwe, że Komisja Europejska może zostać jedną z najpotężniejszych instytucji na świecie, choć żaden z jej urzędników nie odpowiada przed ludźmi

Najnowszy sondaż przeprowadzony na zlecenie agencji IROP daje mu aż 56 procent poparcia wobec 44 procent dla Sarkozy'ego. Czy to oznacza, że trzy lata od wybuchu kryzysu Francuzi mają tak dosyć wyrzeczeń, że jak tonący brzytwy chwytają się każdej nadziei na powrót lepszych czasów? A może w ogóle nie zdają sobie sprawy, w jak trudnej sytuacji finansowej znajduje się ich kraj?

Powód wydaje się inny. Szarża Merkel i Sarkozy'ego nie pozostawiła Francuzom żadnej innej możliwości sprzeciwu wobec budowy europejskiego federalnego państwa, jak głosowanie na kogoś, kto odsunie od władzy obecnego prezydenta. Hollande może to zrobić najskuteczniej.

* Autor jest dziennikarzem „Dziennika Gazety Prawnej”.

Ambicje pana premiera

Donald Tusk buduje pozycję w Europie. Nie chce już być tylko obserwatorem. Zamierza rozdawać karty w europejskiej rozgrywce. Uda mu się?

PAWEŁ ŚWIEBODA*

Scena europejska 2012 roku obfitować będzie w rozmaite zwroty akcji, które przesądzą o perspektywach rozwoju Polski na najbliższe lata. Wobec wszystkiego, co się dzieje, można być obserwatorem, bacznie przyglądając się, co robią inni, i patrząc im na ręce. Można też być jednym z rozgrywających. Takiej pozycji nie zdobywa się niczym innym jak wyteżoną pracą i mądrą strategią. Donald Tusk ma ją w zasięgu ręki.

Wśród europejskich polityków polski premier jest seniorem. Kryzysowa miotła wyeliminowała w ostatnich dwóch latach wielu z jego dotychczasowych odpowiedników w innych państwach UE. Wszędzie, gdzie załamał gospodarcze dało się we znaki, mamy dzisiaj nowe ekipy rządowe u władzy – w Irlandii, Portugalii, Grecji, we Włoszech i w Hiszpanii. Pewni swego nie mogą być nawet Nicolas Sarkozy i Angela Merkel. Tymczasem w Polsce, wbrew naszej własnej tradycji, stary rząd dostał ponowny mandat. Na tle politycznych zawirowań w całej Europie Donald Tusk może więcej od innych. Ten rok pokaże, czy uda mu się to wykorzystać.

Menedżerska prezydencja

Rząd Tuska gra w Europie w politycznym centrum, chociaż nie boi się postawić na swoim, gdy uważa to za niezbędne. Przykładem samotne zawetowanie bardziej ambitnych europejskich celów redukcji emisji gazów cieplarnianych w czerwcu 2011 roku. W znakomitej większości obszarów polski rząd próbuje jednak budować koalicje i przekonywać innych do swojego punktu widzenia, bez zbędnej zaciorności.



FOT. TOMASZ PACOS/FOTONOVA

Prezydencja w Unii Europejskiej pomogła w utrwaleniu tego wizerunku, bo była „menedżerska”, trochę jak pierwsza kadencja rządów Tuska. Bez fajerwerków, wielkich wizji, skupiona na doraźnej operacji. Chodziło o pokazanie, że Europa działa sprawnie pomimo kryzysu. Przy okazji szef polskiego rządu nie nadepnął dzięki temu nikomu na odcisk.

W jednej zasadniczej sprawie premier nie miał obiekcji, aby ostro zaprotestować. Zawsze był za tym, żeby w UE unikać podziałów i robić wszystko, aby iść do przodu razem, w jednolitym tempie. Przeciwstawiał się zdecydowanie, gdy w lutym Angela Merkel po raz pierwszy zgodziła się na odwieczny francuski pomysł upolitycznienia strefy euro i organizowania szczytów jej przywódców, co zawsze niosło ryzyko utrwalenia Europy dwóch prędkości. Prezydent Sarkozy był tak poirytowany, że chciał nawet odwołać szczyt Trójkąta Weimarskiego w Warszawie.

Temat wrócił w grudniu, gdy w ramach ratowania wspólnej waluty tandem niemiecko-francuski wymyślił unię fiskalną, również dotyczącą w pierwszej kolejności państw strefy euro. Tusk emocjonalnie apelował wówczas, aby nie dzielić Europy na lepszych i gorszych.

We wzmacnianiu pozycji politycznej polskiego premiera pomaga naturalnie kondycja naszej gospodarki. Odporność na zainfekowanie kryzysem przekracza wszelkie oczekiwania i jest autentycznym przedmiotem zazdrości ze strony innych europejskich przywódców. Okazuje się także, że polski system polityczny, przez lata będący źródłem naszego kompleksu niższości, teraz robi bardzo przyzwoite wrażenie na tle degrengolady u innych. Rozmaite rozwiązania wprowadzane przez lata po to, aby ochronić gospodarkę przed wpływem zawirowań politycznych, ze sztandarowym przykładem 60-procentowego limitu długu publicznego, teraz zaczynają popłacać. W Europie nikt wcześniej o nich nie pomyślał.

Spinacz europejski

Choć pozycja startowa Donalda Tuska na rok 2012 jest dobra, to wszystko zależy od dynamiki, jaką przybiorą sprawy europejskie, i od tego, jakie będzie polskie do nich podejście. W pierwszych miesiącach najważniejsze, co nas czeka, to dogadywanie unii fiskalnej, podpisanie porozumienia międzynarodowego na ten temat i próba uruchomienia przewidzianych w nim mechanizmów. Polska zapisała się do tego projektu, ale od ostatniego szczytu w Brukseli wyraźnie chłodzi emocje. Mamy swoje postulaty, między innymi uczestnictwa w spotkaniach państw strefy euro. Co

ma oczywiście sens, ale nie musi spotkać się z entuzjazmem partnerów i na pewno zostanie oprotestowane przez Francję.

Z drugiej strony, jak zapowiedział minister Jacek Rostowski, nie chcemy być związani dyscypliną fiskalną, którą negocjowane właśnie porozumienie przewiduje. Uważamy, że nasze własne rozwiązania, w tym kotwica wydatkowa, są w pełni wystarczające. Mówiąc krótko: mamy ochotę zjeść ciastko i je mieć jednocześnie. Różnica pomiędzy stanowiskiem Wielkiej Brytanii, odsądzonej od czci i wiary, i naszym jest taka, że my nie będziemy blokować tego, co strefa euro zamierza zrobić we własnym gronie. *De facto* nie będziemy jednak rzeczywistym uczestnikiem unii fiskalnej.

Większa swoboda może być pożyteczna dla kraju, który się rozwija i tym samym chce testować, gdzie leży granica tolerancji dla deficytu budżetowego ze strony rynków finansowych. Nie można jednak mieć złudzeń, że to oznacza

Donald Tusk ma szansę odgrywać rolę spinacza między strefą euro a krajami spoza strefy, zwłaszcza Wielką Brytanią

pozostawanie poza głównym nurtem procesu, który toczy się w UE i którego symbolem jest unia fiskalna. Zajmujemy tym samym miejsce obserwatora. Jeżeli Donald Tusk uważa, że to dla nas lepsze, może mieć rację, ale musi jednocześnie zaakceptować mniejszy wpływ na europejską rzeczywistość.

Być może premier sądzi, że UE jest w błędzie, a pomysł unii fiskalnej to niewypał, który skutecznie schłodzi europejską gospodarkę. Do tego nierealizowalny w praktyce, bo poszczególne rządy pod presją ulicy zaczną się z jego ustaleń wycofywać. Tak się może okazać, bo unia fiskalna oznacza przede wszystkim drańskie oszczędności budżetowe, do tego jeszcze nadzorowane przez Europejski Trybunał Sprawiedliwości. A to nie wywoła społecznego entuzjazmu.

Tak czy inaczej, Donald Tusk ma szansę odgrywać rolę spinacza pomiędzy strefą euro a krajami spoza strefy, zwłaszcza Wielką Brytanią. Wiadomo, że w wielu sprawach jest nam z Brytyjczykami po drodze. Jednolity rynek, konkurencyjność, agenda wzrostu – to wszystko łatwiej będzie w Unii realizować z Wielką Brytanią na pokładzie. Sami Brytyjczycy nie chcą na razie wychodzić z Unii.

Wręcz przeciwnie, dowodzą, że są aktywni we wszystkich obszarach współpracy europejskiej, od bezpieczeństwa i obrony po Partnerstwo Wschodnie.

Sukces warunkowy

Donald Tusk zabiegał także z sukcesem na ostatnim szczycie UE, aby do projektu unii fiskalnej przyłączyły się pozostałe nowe kraje członkowskie. W polskim interesie leży, by nie pogłębiać już i tak wyraźnych podziałów w UE. Wtedy łatwiej będzie zamknąć rzeczy, na których nam najbardziej zależy, takie jak kolejna perspektywa finansowa.

Na kryzysie w strefie euro świat się naturalnie nie kończy. Przeciwnie, jest oczekiwanie, że Unia przestanie wreszcie całą uwagę skupiać na sobie i zacznie udzielać się aktywnej w polityce zagranicznej. Jak dotąd to nie jest konik premiera. Tusk sprawia wrażenie, jakby był szczęśliwy, oddając to terytorium ministrowi Radosławowi Sikorskiemu.

Są jednak obszary, gdzie bez zaangażowania szefa rządu nie sposób uzyskać karty przetargowej. Po Partnerstwie Wschodnim trzy lata temu nadchodzi czas na nową inicjatywę polityczną z polskiej strony. Wyzwań nie zabraknie – od wchodzącej w okres wewnętrznego przesilenia Rosji, przez klincz rozmów akcesyjnych UE z Turcją, po pozbawiony adrenaliny dialog transatlantycki.

Sukces Donalda Tuska w Europie będzie, jak zawsze, zależał od pola manewru w kraju. Po ostatniej debacie parlamentarnej sytuacja jest jasna. Poza swoją partią może liczyć na poparcie Ruchu Palikota, który stał się pierwszą prawdziwie eurofederalistyczną siłą w polskim Sejmie, oraz tradycyjnie proeuropejskiego SLD. Gorzej z PSL, które będzie raczej naciskać na hamulec przy próbach pogłębienia integracji. Jednoznacznie sceptyczne pozostanie PiS.

Teoretycznie premier będzie miał w kraju przyzwoitą przestrzeń do działania, ale kosztem większej polaryzacji politycznej. W Europie jego notowania wzmocniła ostatnio prezydencja, ale były niezłe już dużo wcześniej. Niemiecka Nagroda Karola Wielkiego w 2010 roku za zasługi dla integracji europejskiej to nobilitacja, która nie ma sobie równych. Jej poprzednikami laureatami byli Winston Churchill, Jean Monnet, Robert Schuman, Helmut Kohl, Jacques Delors i Jan Paweł II.

Na tej liście nie ma żadnych przypadkowych nazwisk.

* Autor jest prezesem demoseuropa – Centrum Strategii Europejskiej.

Sułtan swingu

Jeśli w 2012 roku Europa go odrzuci, premier Turcji **RECEP TAYYIP ERDOĞAN** przyjmie to bez żalu. Dziś jest największym wygranym arabskich rewolucji. Jutro może być liderem całego Bliskiego Wschodu

LUKASZ WÓJCIK

Gdy we wrześniu wylądował na kairskim lotnisku, witany był jak gwiazda rocka. Czerwony dywan, salwy kompanii honorowej i tysiące Egipcjan wrzeszczących: „Erdoğan, Erdoğan, prawdziwy muzułmanin, a nie tchórz!”, albo „Turcja i Egipt to jedna pięść!”. – Egipcjanie, gdyby mogli, wybraliby go na prezydenta – mówi Amani al-Taail z kairskiego Centrum Studiów Politycznych i Strategicznych Al-Ahram. – Jest tu tak popularny, że wielu kandydatów w obecnych wyborach reklamowało się jako „egipski Erdoğan”.

Podczas wizyty nad Nilem zdążył potępić Izrael za złe traktowanie Palestyńczyków i wystąpić w programie egipskiej Oprah Winfrey Mony el-Szazli, gdzie mentorskim tonem tłumaczył wyższość tureckiego modelu. Mówił: „Demokracja wcale nie jest sprzeczna z islamem, a obowiązkiem dobrego muzułmanina jest utrzymanie świeckości państwa”.

Gdy kilkanaście godzin później lądował w Tunezji, jeden z liderów rządzącej partii an-Nahda tłumaczył w telewizji wyraźnie rozrzewniony: „Erdoğan mówi naszym językiem. On mówi, my go słuchamy”. W Maroku, do którego premier Turcji nie dotarł podczas wrześniowego tournée, rządzące ugrupowanie wysyła członków na polityczne szkolenia do Ankarę. Nazywa się ono: Partia Sprawiedliwości i Rozwoju, czyli tak samo jak turecka partia Erdoğan.

Zaden z arabskich przywódców nie może nawet pomarzyć o popularności, którą cieszy się dziś 57-letni Erdoğan na zrewolucjonizowanym Bliskim Wschodzie. W 2010 roku, według amerykańskiej sondażowni Zogby, był najpopularniejszym politykiem w regionie. W grudniu 2011 bezapelacyjnie wygrał internetowy plebiscyt na Człowieka Roku tygodnika „Time”, zdobywając dwukrotnie więcej głosów niż drugi w klasyfikacji gwiazdor klubu FC Barcelona Lionel Messi.

Turcja jest już dla niego za mała. Gdy w lipcu ubiegłego roku, jako pierwszy polityk w historii

swojego kraju, po raz trzeci z rzędu wygrał wybory parlamentarne, zapewniał w przemówieniu transmitowanym przez arabską telewizję Al-Dżazira: „Uwierźcie mi, dziś Sarajewo wygrało tak samo jak Stambuł, Bejrut tak samo jak Izmir, a Damaszek, Zachodni Brzeg Jordanu i Jerozolima tak samo jak Ankara”.

Cypryjska wymówka

Dotychczas zaangażowanie tureckiego premiera było rozproszone między Bliski Wschód i Europę. Ale rok 2012 może okazać się przełomowy. Od sześciu lat Ankara nie otworzyła żadnych rozdziałów w negocjacjach członkowskich z UE. Jednym z powodów jest opór Francji i Niemiec, które nie wyobrażają sobie, by 78-milionowy kraj mógł się zmieścić w Unii, szczególnie teraz, w kryzysie. Ale najważniejszą tamą jest Cypr. Odkąd jest we wspólnocie, domaga się wycofania wojsk tureckich, okupujących północną część wyspy. To dla Nikozji wstępny warunek cofnięcia weta w sprawie rozmów z Turcją. Dla Ankarę byłaby to zdrada mieszkających tam Turków.

W 2012 roku czara się przeleje. W czerwcu rozpoczyna się cypryjska prezydencja w Unii i premier Erdoğan już od kilku miesięcy zapowiada bojkot relacji z Brukselą. – To może być faktyczny koniec rozmów o członkostwie Turcji w Unii Europejskiej – przekonuje profesor Çınar Özen, politolog z Uniwersytetu Ankarckiego. – Obie strony od lat udają, że negocjacje wciąż są prowadzone, a tak naprawdę dziś już ani Brukseli, ani Ankarze na nich nie zależy.

Raczej nie przejmą się tym Turcy. O ile jeszcze w 2004 roku 73 procent z nich było za członkostwem w UE, teraz „za” jest już tylko 38. Zresztą, po co mieliby do tej Unii wchodzić? Kiedyś osmańską Turcję nazywano „chorym człowiekiem Europy”. Dziś, na tle rozchorowanej Europy, to Turcja jest okazem zdrowia. Jej PKB w 2011 wzrósł o prawie dziewięć procent (Unii – nieco o ponad jeden). I w coraz większym



Premier Turcji (w garniturze) podczas wrześniowej wizyty w Libii

stopniu zależy on od handlu z Bliskim Wschodem – jego udział w tureckim eksporcie w ostatnich siedmiu latach wzrósł dwukrotnie.

Nagła zmiana frontu

W dużym stopniu to zasługa premiera Erdoğan. Gdy tylko przejął władzę, od razu ocieplił fatalne relacje z Syrią, zaczął bywać w Teheranie i Trypolisie. I zawsze zabierał ze sobą tureckich biznesmenów. Aby interesy szły dobrze, potrafił zaprzyjaźnić się zarówno z prezydentem Egiptu Hosnim Mubarakiem, jak i z Muammarem Kaddafim. Jego krytycy zarzucali mu wtedy, że hasło jego polityki zagranicznej – „Zero problemów

z sąsiadami” – powinno brzmieć: „Zero problemów z tyranami”.

Ale gdy w 2011 roku kolejni bliskowschodni tyrani zaczęli tracić władzę w wyniku rewolucji arabskich, Ankara dość szybko zmieniła front. Erdoğan jako pierwszy polityk w regionie zapelował do Mubaraka, aby ten ustąpił, a gdy tylko ostatnich tureckich obywateli ewakuowano z Libii, nazwał swojego niedawnego przyjaciela Kaddafiego mordercą i dofinansował libijskich rebeliantów 300 milionami dolarów. Dziś wspiera syryjską opozycję przeciw Assadowi, którego kiedyś nazywał bratem.

Oplącało się. Jego wrześniowe tournée po krajach Bliskiego Wschodu przyniosło tureckim

przedsiębiorcom kontrakty o całkowitej wartości ponad siedmiu miliardów dolarów. Dzięki temu Turcja w 2012 roku zajmie miejsce Chin jako największego inwestora w regionie.

Biznes to jednak tylko środek do celu. „Erdoğanowi na Bliskim Wschodzie marzy się struktura podobna do unijnej. Oczywiście pod tureckim przewodnictwem” – pisze turecki politolog i bloger Mustafa Akyol. „Dotychczas miał związane ręce, bo nie chciał odpowiadać za zrewanie negocjacji z Europą. Ale w 2012 roku sprawa załatwi cypryjska prezydencja”.

Ostateczny zwrot Ankarę w stronę Bliskiego Wschodu bynajmniej nie oznacza, że powstanie nowe Imperium Osmańskie, bo

wyzwoleni dopiero co od despotów Arabowie łakną niezależności. Ale jeśli spełnią się zamierzenia Erdoğan, odrzucona przez Europę Turcja stanie się dla Bliskiego Wschodu tym, czym dziś są Niemcy dla Unii: wielkim producentem z bezpośrednim dostępem do arabskich rynków zbytu. Analogicznie do europejskiego przypadku – władza polityczna przyjdzie sama.

– Erdoğan woli być pierwszy na Bliskim Wschodzie niż ostatni w Europie – mówi profesor Özen. – Wśród arabskich przywódców nie ma godnego konkurenta. Już dziś dla arabskiej ulicy jest sułtanem, a ta ulica zaczyna głośować. To może być jego rok.



Kim 3.0

Kim Dzong Un podobno kocha NBA. To nie oznacza, że zmieni Koreę Północną tak, jak chciałaby reszta świata. Spodziewajmy się dalszych prac nad programem atomowym

RAFAL KOSTRZYŃSKI*

W Korei Północnej wszystko jest tak tajne, że aż się prosi o teorie spiskowe. Gdy Kim Dzong Il trzy lata temu przestał pokazywać się publicznie, media uznały, że coś knuje, bo do tej pory zawsze, gdy zniknął, Pjongjang wyrządzał światu jakieś świństwo. Tygodnie miały, nic się nie działo, poszła więc plotka, że Drogi Przywódca dostał udaru mózgu i jest w stanie krytycznym. Potem było jeszcze bardziej sensacyjnie: Kim Dzong Il nie żyje, zastępuje go sobowtór, a generałowie walczą o władzę. Te pogłoski uciszyło dopiero publiczne wystąpienie północnokoreańskiego lidera. Podobnie było z programem jądrowym Pjongjangu. W jego skuteczność nie wierzył nikt, dopóki Koreańczycy nie udowodnili, że mają atom i nie zawahają się go użyć. Teraz Kim Dzong Il już nie żyje (ty

razem naprawdę), ale wciąż żywe jest przekonanie, że w Korei Północnej nic nie może być takie, na jakie wygląda. Zatem młody, niedoświadczony Kim Dzong Un, którego tata namaścił na swego następcę, na pewno będzie tylko atrapą. Takie głosy było słyhać rok temu – gdy Kim junior otrzymał awans na czterogwiazdkowego generała. I słyhać je teraz, gdy zalicza kolejne awanse.

W Korei Północnej wprawdzie wszystko jest możliwe (może z wyjątkiem rychłej demokracji), ale na razie pogłoski o zmierzchu dynastii Kimów są równie przedwczesne, jak dawne plotki o zgonie Drogiego Przywódcy.

– Kim Dzong Un nie wziął się znikąd i nie został zainstalowany przypadkowo – mówi „Przekroju” Kim Jeon Su z seulskiego Uniwersytetu Obrony Narodowej. – Przez ostatnie trzy lata ojciec przygotowywał go do przejścia władzy. A że pozycja Kim Dzong Ila była w partii nie do podważenia, te wysiłki musiały być skuteczne. Jego syn ma jedną ogromną zaletę: jest niemal bliźniaczko podobny do swojego dziadka Kim Ir Sena. W kraju, w którym symbole odgrywają tak ogromne znaczenie, to atut, który trudno przecenić.

Zaraz po tym, gdy jesienią zeszłego roku Kim Dzong Il namaścił syna na swojego następcę, władze zaczęły podkreślać to podobieństwo. Z niezłym efektem. Pызaty, uśmiechnięty Un, z charakterystycznym zaczesaniem do tyłu, w mundurku Mao i ze wzrokiem wlepionym w świetlaną przyszłość wyglądał prawie tak samo jak Wielki Wódz.

To prawda, że wygląd to nie wszystko. – To, że na czele atomowego mocarstwa staje dzielnik bez doświadczenia politycznego, może wywoływać niepokój – przyznaje Victor Cha, ekspert do spraw Korei z amerykańskiego Centrum Studiów Strategicznych i Międzynarodowych. – Zapewne to nie on będzie teraz podejmował najważniejsze decyzje dla kraju, ale to wcale nie musi oznaczać, że dynastia traci władzę. Po śmierci Kim Ir Sena w 1994 roku Kim Dzong Il potrzebował trzech lat, żeby wziąć sprawy w swoje ręce. Przez ten czas rządził kolektyw. To aparat, który dobrze wie, że istnieje dzięki systemowi, więc nie zrobi niczego, co mogłoby mu zaszkodzić. A system to dynastia Kimów i wojsko w jej cieniu. Z Kim Dzong Unem zapewne będzie podobnie.

Nic nie wskazuje na to, by miało być inaczej. Zaraz po śmierci Kim Dzong Ila rządząca Partia Pracy Korei ogłosiła jego syna „wielkim następcą na drodze rewolucji” oraz „wybitnym przywódcą armii i narodu”. Słowo „przywódca” jest tu kluczowe. Tak nazywano do tej pory tylko Wielkiego Wodza i Drogiego

Przywódcę. A gdy „wielki następcą” składał hold ojcu w szklanej trumnie, w telewizji nazwano go „kolejnym przywódcą z niebios zesłanym”. A całości dopełniał obraz kłaniających mu się w pas generałów. – Rola Kim Dzong Una wyjaśni się ostatecznie wtedy, gdy zostanie wybrany następcą jego ojca na stanowisku przewodniczącego Narodowego Komitetu Obrony – mówi nam Leonid Petrov, znawca problemów koreańskich z Uniwersytetu w Sydney. – Jeśli zostanie nim Un, będzie to oznaczać, że ma tyle władzy, ile poprzednicy. Jestem przekonany, że właśnie tak się stanie. Kim Dzong Il zostawił generałom i dyktarzom partyjnym dokładne instrukcje: mają poprzec jego syna w zamian za gwarancje bezpieczeństwa. I ten plan jest właśnie realizowany. To czytelny sygnał dla ludu, by nie oczekiwał żadnych zmian.

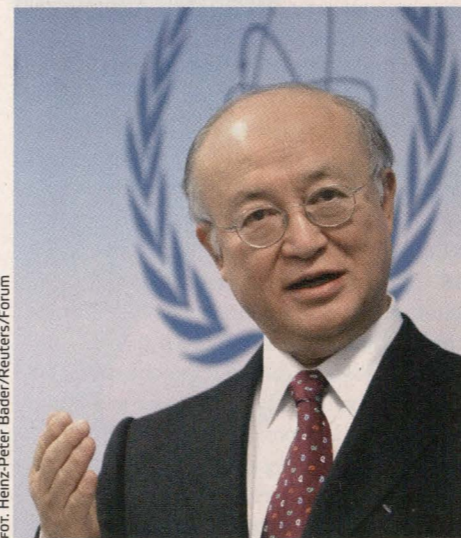
Nawet południowokoreański wywiad, który zakłada różne scenariusze u swojego północnego sąsiada, przyznaje, że Kim Dzong Un zaczyna umacniać swoją pozycję. Najlepszym dowodem na to jest postawa Chin – najważniejszego sojusznika reżimu. Kim Dzong Il odwiedził Pekin dopiero po sześciu latach od objęcia władzy. Nowy przywódca już dostał oficjalne zaproszenie. A gdy zaraz po śmierci ojca wydał generałom polecenie zawrócenia żołnierzom do koszar, zostało ono posłusznie wykonane. – Z grubsza wiadomo, co nas czeka za czasów nowego przywódcy. Kontynuacja wrogiej polityki wobec USA i Korei Południowej, dalsze prace nad programem atomowym i podtrzymywanie izolacjonizmu – wylicza w rozmowie z „Przekrojem” Steven Weber, analityk do spraw Korei z Uniwersytetu Berkeley w Kalifornii. – Ale zanim to nastąpi, czeka nas kilka miesięcy ciszy przed burzą. Kim Dzong Un musi uporządkować sprawy w państwie, więc żeby zyskać na czasie, zapewne zaproponuje powrót do rozmów sześciopartyjnych w sprawie programu jądrowego. Nie spodziewam się, żeby coś z nich wynikło, tak jak nie spodziewam się, by wzmożone kontakty z chińskim biznesem zaowocowały reformą ekonomiczną.

To typowa taktyka Kimów. W 1994 roku, tuż przed swoją śmiercią, Kim Ir Sen zamroził budowę dwóch reaktorów jądrowych – jakby przeczuwając, że kraj będzie potrzebował spokoju. Jego syn wznowił prace w 2003 roku i trzy lata później Pjongjang zaskoczył świat atomowym testem. Wnuk na pewno nie będzie chciał być gorszy. Choć może powinniśmy napisać, że nie będzie chciał być lepszy. 2012 rok wiele w tej kwestii wyjaśni. ●

* Autor jest dziennikarzem „Rzeczpospolitej”.

Japoński cyngiel

Szef MAEA YUKIYA AMANO w 2012 roku może dostarczyć Ameryce uzasadnienia wojny z Iranem



LUKASZ WÓJCIK

Ostatnie wybory na szefa Międzynarodowej Agencji Energii Atomowej wygrał dopiero w ósmym głosowaniu. Przy Amano upierały się: USA, Francja i Wielka Brytania. Ambasador USA przy MAEA mówił wprost, że po Mohammedzie el-Baradei Waszyngton widziałby na tym stanowisku „kogoś bliższego, rozumiejącego nasze stanowisko”.

Yukiya Amano jest bliższy. Ten 64-latek zapewne w spokoju skończyłby pracę jako wykładowca japońskiej akademii dyplomatycznej, gdyby w 2002 roku nie zajął się międzynarodowym rozbrojeniem. Jego kariera dostała atomowego przyspieszenia: kilka lat później był już przedstawicielem Japonii przy MAEA, a od grudnia 2009 roku jest szefem tej agencji. Dwa miesiące temu ten skromny urzędnik udowodnił, że w 2012 roku może zdecydować o pokoju lub wojnie, przy której zbledną wszystkie światowe konflikty ostatniej dekady.

8 listopada MAEA opublikowała pierwszy pod kierownictwem Amano raport w sprawie irańskiego programu nuklearnego. „Nigdy dotąd agencja nie miała tak poważnych obaw w stosunku do działań Teheranu. Mamy poważne przypuszczenia, że Irańczycy pracują nad bombą” – mówił Japończyk zaraz po upublicznieniu dokumentu. Jeszcze tego samego dnia prezydent Barack Obama oświadczył: „Tracimy cierpliwość. Wszystkie sposoby rozwiązania irańskiego problemu, łącznie z militarnym, są możliwe”. Z takich dyplomatycznych obłoci zrezygnował minister obrony Izraela Ehud Barak: „Reżim ajatollahów nie pozostawia nam wyboru. Jesteśmy gotowi na atak wyprzedzający”.

O czym mówi listopadowy raport MAEA? Wylicza wszystkie tajne próby zakupu przez Irańczyków materiałów rozszczepialnych, niezbędnych do budowy bomby jądrowej, oskarża Teheran o chęć zakupu dokumentacji budowy, a także o próby werbunku zagranicznych fizyków jądrowych. W konkluzjach pada zdanie: „Niektóre działania związane z budową bomby jądrowej prowadzone są do dziś”. Według agencji Irańczycy mogą zbudować bombę już w 2012 roku.

Z opracowaniem Amano jest tylko jeden problem. – Nie ma w nim żadnych, zero, nul, dowodów na to, że Irańczycy w jakikolwiek sposób powrócili do wojskowego programu nuklearnego po 2003 roku, kiedy oficjalnie go zlikwidowali – mówi Ramesh Thakur, profesor dyplomacji i były rektor Uniwersytetu Narodów Zjednoczonych. – Wszystkie twarde informacje, które w nim są, można było znaleźć w poprzednich dokumentach MAEA. Okresu po 2003 roku dotyczą tylko symulacje komputerowe i prognozy. Agencja skopiowała poprzednie raporty, ale kompletnie zmieniła wnioski. – To opracowanie jest dziwaczne – twierdzi Robert Kelley, amerykański inżynier jądrowy ze Sztokholmskiego Międzynarodowego Instytutu Badań nad Pokojem. – Agencja nie ma dowodów na nielegalne praktyki w irańskich ośrodkach wzbogacania uranu, które są na okrągło monitorowane przez kamery MAEA. Natomiast złowrogi konkluzje dotyczą tajnego programu wojskowego, który – jak sugeruje agencja – bez wątpienia istnieje, tylko nie ma na to żadnych dowodów. Ten raport to żart.

Amerykani i Izraelczycy nie żartują. Od lat panuje między nimi zgoda, że nawet ryzykując bezpośredni atak na Iran, nie można dopuścić, aby ajatollahowie weszli w posiadanie bomby. Tel Awiw zapowiedział już na luty ćwiczenia lotnicze z Amerykanami. Ci z kolei wraz z Londynem wprowadzili kolejne finansowe

sankcje przeciwko Iranowi. Ajatollahowie nie są święci. Teheran, który jest stroną Traktatu o nierozprzestrzenianiu broni jądrowej, łamał go przez prawie dwie dekady, do 2003 roku prowadząc nielegalne prace nad bombą.

Gdyby jednak Irańczycy prowadzili je nadal, Waszyngton z pewnością dostarczyłby światu twarde dowody. Amerykański dziennikarz zajmujący się irańskim programem nuklearnym Seymour Hersh twierdzi, że nigdy wcześniej amerykańska i izraelska infiltracja Iranu nie była tak głęboka. Tylko w 2011 roku w niewyjaśnionych okolicznościach zginęło czterech irańskich naukowców związanych z programem wzbogacania uranu.

Irański Internet jest wciąż atakowany przez izraelskie wirusy, z których najbardziej znany, Struxnet, w 2010 roku omal nie wysadził w powietrze irańskiej elektrowni. Hersh twierdzi, że jeśli połączyć te fakty z coraz ostrzejszą retoryką Waszyngtonu i Tel Awiwu, bezpośrednie starcie wydaje się coraz bardziej możliwe.

Jak ważną rolę w tonowaniu takich napięć może odegrać Międzynarodowej Agencji Energii Atomowej, pokazał jej poprzedni szef Mohammed el-Baradei. Na początku 2003 roku, gdy Amerykanie już przerzucali wojska w pobliże irackich granic, el-Baradei pojechał do Bagdadu z misją ostatniej szansy. Nie znalazł żadnych dowodów na to, że Saddam Husajn posiada broń masowego rażenia. Rada Bezpieczeństwa ONZ na podstawie tej opinii sprzeciwiła się wojnie. Mimo to Amerykanie uderzyli. I do dziś szukają w Iraku broni masowego rażenia, a kierowana przez el-Baradei MAEA za próbę powstrzymania wojny otrzymała w 2005 roku Pokojową Nagrodę Nobla.

Nagrodę w Oslo odbierał w zastępstwie el-Baradei właśnie Yukiya Amano. Cztery lata później, ku uciesze Amerykanów, zastąpił el-Baradei już na stałe, a organizacja, która dotychczas skutecznie studziła zapędy amerykańskich i izraelskich jastrzębi, w przyszłym roku może dostarczyć im pretekstu do ataku na Iran.

W 2010 roku portal Wikileaks ujawnił raport amerykańskiego przedstawicielstwa przy MAEA, który pisał: „Amano wielokrotnie sugerował, że twardo stoi po stronie USA w sprawie irańskiego programu nuklearnego. Będzie z nami”.

– MAEA jeszcze nigdy nie była tak upolityczniona, a w 2012 roku stanowisko tej agencji może być kluczowe dla utrzymania pokoju – mówi profesor Thakur. – Amano może tu zadziałać jak spust w naładowanym i wycelowanym już w Teheran pistolecie. Po ostatnim raporcie w sprawie Iranu mam wrażenie, że to wyjątkowo miękki spust. ●

Ein gut Italiener

W 2012 roku **MARIO DRAGHI**, nowy prezes Europejskiego Banku Centralnego, ma zadanie tyleż łatwe do opisanego, co piekielnie trudne do wykonania: ocalić Europę

PAWEŁ MOSKALEWICZ*

Pani kanclerz, czy nie boi się pani Włocha na czele EBC? - pyta w kulisach ostatniego europejskiego szczytu jeden z niemieckich dziennikarzy. - Spokojnie, to nasz człowiek, bardzo niemiecki Włoch...

To anegdota, którą opowiadają sobie dziennikarze obsługujący kolejne szczyty strefy euro. Czy prawdziwa? Do końca nie wiadomo, ale bardzo dobrze opisująca Maria Draghiego, nowego szefa Europejskiego Banku Centralnego. Jego poprzednik Jean-Claude Trichet opuszczał swe stanowisko z ulgą. Pozornie posada szefa europejskiego banku to prawdziwa perła w koronie kariery każdego bankiera: prestiż, władza i imponujące apanaże. Jednak Trichet od dawna sprawiał wrażenie człowieka, który z rozkoszą odda owe splendory i ucieknie najdalej, jak się da. Koniec jego kadencji przypadł na okres dramatyczny: gdy pierwsza fala kryzysu zatrzęsa systemem bankowym, a druga zmiotła rządy kilku krajów strefy euro i zagroziła bytowi UE. Lecz gdy spanikowani bankruci zastukali do bram banku, błagając o pomoc, Niemcy szybko powiedzieli Trichetowi „stop”.

Europejscy kasjerzy nie żartowali - gdy Trichet chciał ratować zagrożone państwa, skupując ich długi, jego niemiecki zastępca podał się do dymisji, a kanclerz Angela Merkel jasno ustaliła zasady gry: „nie” dla dalszego skupowania obligacji bankrutujących rządów. Upokorzony Trichet z ulgą spakował manatki, zajmując miejsce w elitarnym grupie G30, owianym mgiełką tajemnicy stowarzyszeniu najbardziej prominentnych bankowców świata. A na wybuchowym fotelu zasiadł Mario Draghi.

Bank nie niańka

Jeżeli ktokolwiek miał nadzieję, że nowy szef EBC wreszcie poluzuje politykę banku i wyciągnie pomocną dłoń do walczących z długiem Włoch i innych krajów strefy euro, stracił złudzenia po konferencji Draghiego, zwołanej na początku szczytu ratunkowego w pierwszej połowie grudnia. Zanim jeszcze po całonocnych obradach zmęczeni Europejczycy przywódca ogłosili ramy nowego paktu fiskalnego, już dzień wcześniej Draghi spotkał się z dziennikarzami i twardo zadeklarował: nie będzie zwiększenia skupu rządowych obligacji przez bank centralny Europy. Mówiąc prościej: Europejczycy dłużnicy muszą znaleźć własne metody walki z długiem, bo EBC właśnie przestaje być ich niańką. Ta deklaracja - mówiąc łagodnie - nie przysporzyła przesyłki wielu nowych fanów w południowej Europie.

Po tej konferencji giełdy chwilowo zareagowały spadkami, a obserwatorzy spekulowali, czy

nowy szef EBC właśnie wybija się na niezależną pozycję, czy też przeciwnie - uczestniczy w intrydze uknutej przez Angelę Merkel, mającej zmieknąć obradujących uczestników szczytu. Niezależnie jednak od tego, czy Draghi gra, jak mu Niemcy zagrają, czy też prowadzi własną grę, jest w tym element teatru. Bo jak bardzo twardym finansistą by nie był, szef Europejskiego Banku Centralnego nie może odwrócić się... od Europy. A EBC powołano właśnie po to, by czuwał nad finansową stabilnością strefy euro i jej waluty. I prezes banku - chcąc nie chcąc - jest zakładnikiem tej sytuacji.

Z jednej strony będzie musiał dbać o siłę i stabilność euro - także wymuszając na członkach strefy trudną dyscyplinę fiskalną, z drugiej zaś, gdy strefa zacznie się walić, a kolejni jej członkowie bankrutować, nic nie powstrzyma gigantycznej katastrofy, która zmiecie też nikomu już wtedy niepotrzebny Europejski Bank Centralny. Dlatego Draghi, jak bardzo nie kre-



Angela Merkel i Mario Draghi - para finansowych szeryfów. Berlin, czerwiec 2011 rok

W ogarniętej widmem bankructwa Europy Mario Draghi wziął na siebie rolę złego bankiera: wymusza reformy, tnie wydatki, nie chce skupować obligacji. W 2012 roku będzie musiał prowadzić subtelną grę, w której stawką będzie przyszłość Unii. A trudno wymusić na bankrutach trudne reformy, kiedy ci doskonale wiedzą, że... nikogo nie stać na ich bankructwo

owałby się na praworządny szeryf w mieście bezprawia, w 2012 roku będzie musiał toczyć subtelną grę, w której stawką jest przyszłość Unii. A bardzo trudno jest wymusić na bankrutach trudne reformy, kiedy ci doskonale wiedzą, że... nikogo nie stać na ich bankructwo. Dlatego bank będzie dalej skupował rządowe obligacje. A że miał tego nie robić? Nieprawda, patrzmy na niuanse. Prezes powiedział wyraźnie, że absolutnie nie ma mowy o „zwiększeniu” zakupów. Ale - czego już nie powiedział - o zmniejszeniu też raczej nie ma mowy.

Ten zły bankier

W tym kontekście mają też sens kolejne deklaracje Maria Draghiego. Na tej samej konferencji, na której pogroził zadłużonym rządowi, powiedział, że bank centralny zrobi wszystko, by „dostarczyć płynność europejskim bankom”. Upraszczając, oznacza to, że EBC dostarczy im tyle gotówki, by nie zabrakło jej, gdy spanikowani klienci zaczną wycofywać masowo swoje depozyty. To naprawdę ważna deklaracja, bo tak jak bankructwo całego kraju jest pojęciem

mocno teoretycznym („bankructwo” Grecji spowodowało się do potężnej redukcji długu Aten), tak bank komercyjny może upaść naprawdę - i pociągnąć za sobą w przepaść masę innych instytucji oraz klientów. Draghi to doskonale rozumie - 21 grudnia EBC pożyczył bankom komercyjnym prawie pół biliona euro.

Ten spektakl będzie trwał co najmniej przez cały 2012 rok. Partie w tej tragedii zostały rozdane: tandem Merkel-Draghi świadomie wziął na siebie rolę „tych złych” i włoski bankier wie, że w tym roku na ulicach Rzymu wściekli rodacy jeszcze nieraz spalą jego kukłę, protestując przeciwko oszczędnościom. Trzymajmy jednak za niego kciuki. Żeby do końca grał w tę grę, bo stawka jest bardzo wysoka. Także dla nas. Nasza złotówka jest ze strefą euro związana na dobre i na złe. Klęska tego bardzo niemieckiego Włocha dotknęłaby polską gospodarkę, polskie firmy, polskie rodziny. *Glückliches Neues Jahr, Herr Draghi.*

* Autor jest dziennikarzem „Bloomberg Businessweek Polska”.

Człowiek od boskiej roboty

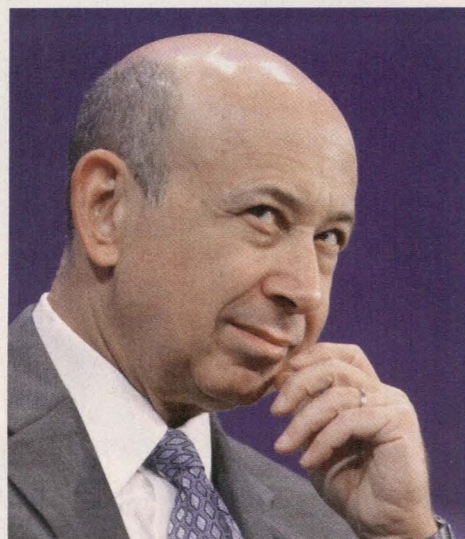
Stoi na czele najbardziej podziwianej i najbardziej nienawidzonej instytucji finansowej na świecie. **LLOYD BLANKFEIN**, prezes Goldman Sachs, dalej będzie trząsł międzynarodowymi rynkami

PAWEŁ ROŻYŃSKI

Kiedy we wrześniu 2008 roku zbankrutował Lehman Brothers, wydawało się, że dni pozostałych banków inwestycyjnych są policzone. Ocalały dzięki pomocy państwa. Szybko oddały pożyczki, wypłaciły pracownikom wysokie premie i dalej są w grze. Prezydent Barack Obama nazywa je tłustymi kotami z Wall Street.

Tłuste koty mogą teraz jeszcze bardziej przytyć. Bo kiedy rynki są rozchwiane, wśród inwestorów panuje huśtawka nastrojów, a kursy akcji i ceny poruszają się jak winda w drapaczu chmur, to banki inwestycyjne, dysponujące najlepszym *know-how*, zarabiają najwięcej. A nie ma szans na szybkie zakończenie kryzysu strefy euro i uzdrowienie finansów Grecji, Hiszpanii czy Włoch. Inwestorzy dalej więc będą obawiać się ich niewypłacalności czy nawet rozpadu unii walutowej. Są też inne niewiadome: Chinom grozi spowolnienie rozwoju, a Stanom Zjednoczonym powrót recesji.

Dla Ameryki winowajcą tego zamieszania jest Lloyd Blankfein. „Maszyna do produkcji spekulacyjnych baniek”, „dzieło diabła”, „wampir wysysający z ludzkości wszystko, co smakiem przypomina pieniądze”. To określenia, które przylgnęły do jego firmy. Ludzie z ruchu Okupuj Wall Street stale pikietują pod jego nowojorską siedzibą. Blankfein, kierując jednym z największych banków inwestycyjnych świata, handluje na własny rachunek akcjami, walutami, surowcami. Obraca ponad 800 miliardami dolarów aktywów swoich klientów. Jednak siłę rażenia zwiększa wielokrotnie jego renoma. Tysiące mniejszych graczy podążają zwykle za swym mistrzem. A będzie ich coraz więcej. Nowe butiki inwestycyjne masowo zaczynają zakładać dotychczasowi menedżerowie banków. „Wykonuję pracę Boga” – tak Lloyd Blankfein bronił się przed atakami w wywiadzie dla brytyjskiego dziennika „The Times”, tłumacząc, że dostarcza gospodarce życiodajny pieniądź, dzięki czemu firmy mogą produkować i zatrudniać



FOT. ZUMAPRESS.COM/KEYSTONE PRESS/FORUM

ludzi. Wywiad wywołał skandal. Wpływowy magazyn „Forbes” uznał Blankfeina za „najbardziej wkurzającego biznesmena 2009 roku”.

W przyszłym roku kierowany przez niego Goldman Sachs i największe banki inwestycyjne zyskają zapewne jeszcze większą przewagę nad innymi uczestnikami rynku. Między innymi dzięki nowej technologii komputerowej. Specjalne programy są w stanie namierzyć najkorzystniejszą ofertę i skorzystać z niej przed konkurencją. Najcwańsze banki instalują nawet swoje superwydajne systemy komputerowe przy samych giełdach, bo daje to przewagę mikrosekund. Niestety, nowoczesna technologia zwiększa ryzyko, gdyż na giełdach w coraz większym stopniu decydują nie ludzie, a maszyny. Banki inwestycyjne już do jednego krachu się przyczyniły, tworząc bezwartościowe instrumenty finansowe oparte na kredytach hipotecznych, które doprowadziły do załamania się systemu finansowego Ameryki w 2008 roku.

Dla Blankfeina pieniądź nie śmierdzi. Niedawno wyszło na jaw, że bank prowadził interesy z Muammarem Kaddafim (dyktator stracił na tym miliardy). Mimo że reputacja Goldman Sachs znów ucierpiała, nie przeszkodziło

mu to w zajęciu w tym roku pierwszego miejsca wśród doradców przy światowych przejęciach i ofertach akcji. To druga gałąź działalności firmy. Wiele wskazuje na to, że utrzyma dominującą pozycję i w tym roku.

Mimo zapowiedzi administracji Obamy tłuste koty nie zostały odchudzone i nie wyrwano im zębów. Nowe przepisy zwiększające nadzór nad ich działalnością można łatwo obejść. Nie grozi im też wprowadzenie podatków od międzynarodowych transakcji finansowych. Blankfein może bowiem liczyć na silny nieformalny wpływ na rynki. Niedawno trader Alessio Rastani wywołał skandal, gdy odważył się w wywiadzie dla BBC powiedzieć to, co myślą finansistów: „To nie rządy rządzą światem. Rządzi nim Goldman Sachs”. Uleganie teoriom spiskowym? Pewnie tak, choć można stać się na nie podatnym po lekturze długiej listy tak zwanych goldmanitów. Bankierami Goldmana byli między innymi sekretarze skarbu USA Hank Paulson i Robert Rubin. Rządowym funduszem TARP, z którego pochodził ratunek dla Wall Street, administratorem jego były pracownik Neel Kashkari. Z Goldman Sachs przeszedł na stanowisko szefa Banku Światowego Robert Zoellick.

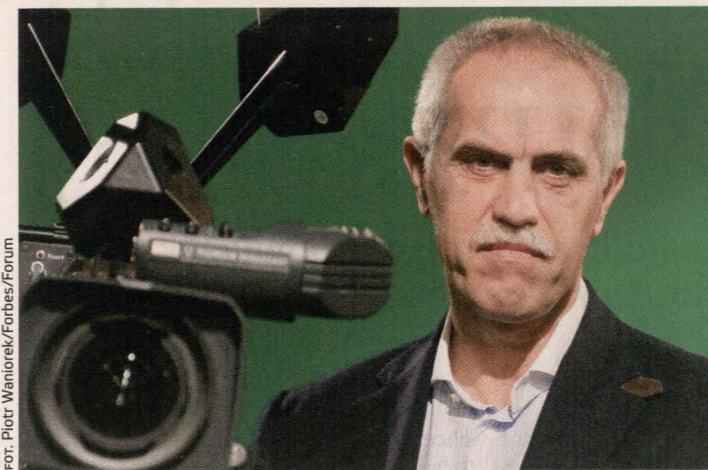
Coraz bardziej prawdopodobne są w 2012 roku kolejne ataki spekulacyjne na zadłużone kraje strefy euro. Wciąż nie ma dla nich parasola ochronnego. Prezes Europejskiego Banku Centralnego Mario Draghi (też jeden z byłych dyrektorów Goldmana) nie pali się do trwonienia środków w ich obronie, a fundusz ratunkowy w MFW dopiero się tworzy.

Blankfein ma wystarczającą siłę, by wpędzić całe państwa w kłopoty. Windując na przykład ceny ubezpieczenia ich długu i w ten sposób doprowadzając do niewypłacalności. Mogłoby to zaszkodzić także Polsce, której, jako rynkowi peryferijnemu, trudniej byłoby pożyczać pieniądze, a złoty znalazłby się na dnie.

Oczywiście można na to wszystko spojrzeć inaczej. Strach przed takimi ludźmi jak Blankfein motywuje Włochy, Portugalię, a nawet Polskę do reform i cięć wydatków. Ale premier Włoch Mario Monti nawołuje: – Trzeba poskromić rynki finansowe. To dzikie bestie.

Wie, co mówi. W końcu wcześniej także pracował dla Goldmana. ●

* Autor jest dziennikarzem „Dziennika Gazety Prawnej”.



FOT. PIETR WANIOREK/FORBES/FORUM

Przez komórki na szczyt

Jeśli **ZYGMUNT SOLORZ** umiejętnie odchudzi Polkomtel i wprowadzi go na giełdę, w tym roku może zostać najbogatszym Polakiem

PAWEŁ ROŻYŃSKI*

Liczba dyrektorów w Polkomtelu zaszokowała Zygmunta Solorza. – Ale was dużo – wyrwało mu się podobno, gdy przyszedł na pierwsze spotkanie z kadram zarządzającą kupionej właśnie spółki. Sceptycy zwracają uwagę, że nowy właściciel nie ma doświadczenia w restrukturyzacjach. Dostał w ręce wielką organizację, trzy tysiące pracowników, a tymczasem Polsat budował od zera, sam pilnując wydatków. Kiedy w 1992 roku telewizja startowała, Solorz pytał: – Po co dwie kamery, nie wystarczy jedna? Po co kupować oświetlenie, nie możecie kręcić w dzień?

Ale jeżeli umiejętnie odchudzi Polkomtel, podniesie jego wartość, wprowadzi na giełdę, to w 2012 roku może zrzucić Jana Kulczyka z pozycji numer jeden, którą od lat zajmuje w rankingach najbogatszych Polaków. A to dzięki zastosowaniu strategii, z której zasłynął przede wszystkim Warren Buffett.

Dziś inwestorzy siedzą na walizkach pieniędzy i czekają na wyklarowanie się sytuacji. Ich apetyty studzą pesymistyczne prognozy gospodarcze. Według najnowszego raportu „The Boston Consulting Group” europejski rynek przejęć i fuzji po rekordowym 2007 roku skurczył się pięciokrotnie. Ale też w związku z tym wyceny spółek są bardzo korzystne. I w tym Zygmunt Solorz upatruje swojej szansy.

To prawda – jego ostatnia transakcja, największa tego typu w Europie, jest bardzo ryzykowna. Kupił Polkomtel w czasach światowego kryzysu i sfinansował go głównie z kredytu – 14 z 18 miliardów złotych, które musiał wyłożyć, pożyczyć. Ale kiedy inwestorzy ruszą na łowy, po niskich wycenach nie będzie już śladu. Solorz kupił więc tanio przyszłość. Jeśli uda mu się poszerzyć udział w rynku i wprowadzić nowe multimedialne usługi, to gdy turbulencje gospodarcze się skończą, wyceny jego aktywów polecą w kosmos.

Analicyści przewidują, że biznesmen wprowadzi Polkomtel na giełdę jeszcze w tym roku i już pod jego koniec będzie mógł pochwalić się pierwszymi efektami restrukturyzacji. Spekulują, że sprzeda na parkiecie jedną czwartą akcji spółki, by w ten sposób zdjąć z barków część długu. Zawsze miał do nich awersję. Przez całe życie inwestując, unikał kredytów.

Solorz wkrótce pokaże, że jest w stanie szybko ograniczyć koszty i zwiększyć zyski o pół miliarda złotych rocznie. Oszczędność wyniósł z rodzinnego domu w Radomiu. Pochodzi z biednej rodziny. Pierwsze pieniądze zarobił w bylejakim NRD – sprowadzał stamtąd do Polski traby i wartburgi. Kiedy zdobył koncesję na pierwszą komercyjną telewizję, szybko okazało się, że oszczędne gospodarowanie popłaca. Program miał być lekki, łatwy i przyjemny, a przede wszystkim tani. Gdy krytykowano go za chałwę w rodzaju disco polo, wskazywał na Ruperta Murdocha, który nie miał oporów przed obniżaniem poziomu, aby zwiększyć oglądalność czy czytelność. Solorz okazał się równie skuteczny. Już pod koniec lat 90. miał więcej widzów niż Program 1 TVP.

Ma wielką intuicję. Gdy otwierał Polsat Cyfrowy, doradcy przekonywali, że na rynku platform kontrolowanych przez Canal+ nie ma już miejsca. Może i nie było, ale on szybko je sobie wywalczył. W branży telekomunikacyjnej nie jest beniaminkiem. Zanim kupił Polkomtel, siedem lat wcześniej zainwestował w Elektrim, który był wówczas głównym udziałowcem Ery. Nie wiedział, że wpakuje się w środek bitwy o kontrolę nad operatorem między gigantami Vivendi i Deutsche Telekom. Wojna zakończyła się dopiero przed rokiem. Solorz mógł się wycofać z zyskiem. A mając rozwiązane ręce, wziął na celownik Polkomtel.

Rok 2012 pokaże, czy ten biznesmen jest w stanie wykorzystać synergii między telefo-

nią komórkową, telewizją, platformą cyfrową i siecią szerokopasmowego Internetu. Oczywiście Cyfrowy Polsat będzie sprzedawał telewizję klientom Plusa i na odwrót, ale chodzi o coś więcej. W tym roku powinien pojawić się dobrej jakości program telewizyjny na tablety czy smartfony. Solorz liczy tu na pionierską technologię LTE, która umożliwi superszybki (100 Mbit/s) bezprzewodowy dostęp do Internetu. Jest jednym z pierwszych graczy na świecie wprowadzających LTE w życie.

Konkurencja będzie musiała dostosować się do niego, oferując tańsze usługi w pakietach. Wymusi to kolejne przejęcia i fuzje na rynku, na którym, jak przekonują analitycy, w zasadzie będą liczyć się tylko dwie grupy: Solorza i TR. Już teraz mówi się nieoficjalnie, że właściciele mogą zmienić takie spółki jak Play, Exatel czy Netia.

Klienci powinni być zadowoleni. Pojawiają się nie tylko nowe usługi. Obniżając koszty biznesu, Solorz będzie w stanie zaoferować niższe stawki na rynku za rozmowy telefoniczne czy usługi internetowe. Oszczędności Polaków z tego tytułu firma konsultingowa Auditel szacuje na 6,5 miliarda złotych w ciągu pięciu lat. Zyska też sam Solorz, bo może zwiększyć udział w rynku, a tym samym podnieść wycenę swoich aktywów. Już dziś jego imperium telekomunikacyjno-medialne warte jest ponad 25 miliardów złotych.

Polkomtel to nie ostatnie słowo właściciela Polsatu. Przejmując Elektrim, Zygmunt Solorz stał się właścicielem 50 procent udziałów zespołu elektrowni Pątnów-Adamów-Konin. Stara się dokupić drugą połowę. Nie jest jeszcze tak bogaty jak Warren Buffett, ale na pewno zna jego dewizę: „Bój się, gdy inni są chciwi, bądź chciwy, gdy inni się boją”.

* Autor jest dziennikarzem „Dziennika Gazety Prawnej”.

Ja, Oburzony

Mam pracę, mam kredyt, mam obowiązek wobec systemu. Uprzykrzać mu życie

BEATA CHOMĄTOWSKA

by zapłacić rachunek za prąd. Skoro Bank of America zaferował mi ją w prezencie, czemu miałam nie wziąć? A wtedy zaczęłam używać jej nałogowo, nie myśląc o tym, że kiedyś będę musiała to wszystko spłacić.

Mam twarz Sarah Mason, która „czuje się moralnie zobowiązana do walki z niesprawiedliwością”. Która dołączyła do Ruchu, by wspomóc ludzi wierzących, że aktywność społeczna to coś więcej niż tylko postawienie krzyżyka przy nazwisku swojego kandydata w wyborach. Mam jej twarz, ale nią nie jestem. Nasz Ruch nie ma liderów, którzy byliby jego symbolem. Nie ma, bo choć jest nas wielu, władzę mamy wszyscy, a nie kilku namaszczonych przez tłum facetów w garniturach, nastawionych na własną karierę. Nie ma struktur, poza jedną: horyzontalną. Struktury i liderzy – to zepsuło już niejedną oddolną inicjatywę. Dlatego w Polsce, gdzie pracujemy właśnie nad manifestem Oburzonych, tak trudno jest nam stworzyć wspólny dokument. Każdą, nawet najmniejszą sprawę, zaczynając od tego, gdzie i w jakim dniu spotkamy się po raz kolejny, musimy uzgadniać wspólnie. Dostawiamy. Gdy ktoś ma inne zdanie niż większość, mówi o tym głośno. Uzgadniamy i głosujemy tak długo, aż osiągniemy kompromis akceptowalny przez wszystkich. Tak powinna wyglądać prawdziwa demokracja.

Mam twarz studenta. Emerytki, która właśnie dostała nakaz eksmisji, bo nie stać jej na czynsz. 94-letniego Stéphane Hessela, weterana francuskiego Ruchu Oporu, autora wydanej rok temu broszury „Oburzajcie się!” (niektórzy sądzą, że od niej wszystko się zaczęło). Proszę nie łączyć nas z żadnym środowiskiem, bo jesteśmy z różnych środowisk. Ani z żadną partią, choć niejedna chciałaby nas przytulić. Zwolennicy partii czy innych ruchów roztapiają się w jednym Zgromadzeniu Powszechnym. Pracujących, bezrobotnych, lepiej i gorzej sytuowanych. Na spotkaniach Ruchu nie ma miejsca na partyjną agitację. Sami też nie

chcemy zamienić się miejscem z politykami. To oni mają dla nas pracować, lepiej niż dotąd. Jak to zrobić, zdecydujemy niebawem. Większość z nas ma poglądy lewicowe, ale to też nie jest wyróżnik. Łączy nas jedno – walka z wykluczeniem i komercjalizacją w każdej postaci. I złość. Wkurzenie. Chęć zmiany. Kapitalizm to kataklizm. Zużył się w obecnej postaci. Trzeba go naprawić. Nie może być tak, że jedni muszą się zadłużać, bo nie stać ich na nic, a inni nie wiedzą, co zrobić z nadmiarem. Dlatego protestujemy nie tylko pod siedzibami rządów, ale instytucji finansowych i giełd – tam, gdzie dziś w równym stopniu rozstrzygają się losy świata i skąd przyszedł kryzys.

Mam twarz-maskę spiskowca Guya Fawkesa z filmu „V jak Vendetta”. Media mogą sobie pisać, że wspieramy w ten sposób korporację Time Warner, która ma prawa do rekwizytu. Ale równie dobrze mogłaby to być maska Jokera albo Zorro. Albo twoja, zwykłego obywatela. Nasz Ruch nie ma logo. Media szukają wszędzie sensacji, potrzebują nowych celebrytów jak świeżej krwi. Rzuciły się na Sarah Mason, bo pasowała do ich wyobrażeń. Dostały figę z makiem – zniknęła, nie odbiera telefonów. Media handlują kłamstwem. Dlatego nie chcemy dziennikarzy na naszych spotkaniach, nie chcemy relacji prasowych.

Fawkes próbował w XVII wieku zabić brytyjskiego króla Jakuba I i posadzić na tronie katolickiego monarchę. Nie udało się mu, zginął. Bohater „V jak Vendetta”, człowiek w masce, realizuje jego plan wiele wieków później, w totalitarnej, futurystycznej Wielkiej Brytanii. Nam też się uda. O Ruchu jest coraz głośniejsze. Jest nas bardzo dużo. W Madrycie – co najmniej pół miliona. 200 tysięcy w Rzymie, kilkaset w Brukseli i w Warszawie. Miliony w Stanach Zjednoczonych. Na razie uczymy się, dyskutujemy, pomagamy sobie nawzajem. Zbieramy pomysły na zmianę. Rewolucja jest coraz bliżej.

Sarah Mason to każdy z nas.

Alchemia Palikota

Dzięki kasie i tytanicznej pracy połączył ze sobą sprzeczne tendencje na polskiej lewicy. Ale prawdziwy test spójności projektu **JANUSZA PALIKOTA** odbędzie się dopiero w 2012 roku

ADAM OSTOLSKI*

Janusz Palikot potwierdził najpierw, że w Polsce jest zapotrzebowanie na pełnokrwistą lewicę, a potem zabrał się profesjonalnie za jej budowanie. Nie jest jednak pewne, czy będzie umiał konsekwentnie pełnić tę rolę. W programie Ruchu Palikota są zarówno pomysły typowe dla wolnorynkowego fundamentalizmu, jak i ważne lewicowe postulaty, a rozkład akcentów zmienia się niemal z tygodnia na tydzień. Ale realizacja tego programu nawet w jego najbardziej lewicowym wydaniu oznaczałaby przyspieszenie wzrostu rozwarstwienia społecznego. Nie jest też pewne, jak długo Palikot będzie w ogóle zainteresowany tworzeniem lewicy. Pod koniec grudnia napisał na swym blogu: „Nie jesteśmy lewicą! Jesteśmy też lewicą!”. I dodał, że chce „prawdziwej zmiany w Polsce”, „zmiany socjalnej w mechanizmach liberalnych z otoczeniem zielonym”. Zapowiada na 1 maja „kongres lewicy”, a jednocześnie prowadzi rozmowy z różnymi frakcjami w Parlamencie Europejskim – i z liberałami, i z Zielonymi, i z socjaldemokratami. Chce trzymać w rękę wszystkie karty i żadnej z nich przedwcześnie nie zużyć. Dziś pewne jest tylko jedno: w 2012 roku może przysporzyć nam niejednej jeszcze niespodzianki.

A był największym politycznym zaskoczeniem w mijającym roku. Palikot wprowadził do Sejmu 40 posłów, w tym tak nietuzinkowe postacie jak Wanda Nowicka, Robert Biedroń i Anna Grodzka. Jego Ruch wprowadził też, co równie istotne, kilka nowych tematów,



dotąd traktowanych przez parlamentarne partie po macoszemu. Świeckie państwo, prawa osób LGBT, prawo do aborcji, prawa lokatorów, racjonalna polityka narkotykowa.

Czy sukces Palikota obalił tezę o „zabetonowaniu” polskiej sceny politycznej? Tylko częściowo. Jego sukces to nie tylko tytaniczna praca lidera i mobilizacja ludzi z różnych środowisk, lecz także miliony złotych wydane za pośrednictwem stowarzyszenia Ruch Poparcia Palikota, a więc poza zasięgiem prawa o partiach politycznych. Nie każde pozaparlamentarne ugrupowanie dysponuje takimi możliwościami. Droga, którą poszedł Palikot, dla innych pozostaje zamknięta.

A jednak to wydarzenie pokazało kilka ważnych rzeczy. Przede wszystkim – na przekór różnym uczonym mądralom – Palikot dowiódł, że w Polsce jest zapotrzebowanie na lewicę. Że Polacy i Polki nie tylko chcą głosować na partię, która reprezentuje kulturę nowoczesność, lecz także chcą kulturę nowoczesną wiązać z postulatami bardziej lewicowej polityki gospodarczej. Sam Palikot dość długo próbował tworzyć partię liberalno-liberalną, reprezentującą wolności obyczajowe i prorynkową politykę w gospodarce. Jednak dopiero

podczas kampanii, gdy zdecydował się na przyjęcie bardziej socjalnej retoryki i zaczął pokazywać się z takimi postaciami jak Piotr Ikonowicz, udało mu się przekroczyć barierę trzech-czterech procent poparcia. A potem już tylko rósł.

W Ruchu Palikota udało się połączyć pod jednym szyldem środowiska, które nie były skądinąd chętne do współpracy. Osoby o antykomunistycznym rodowodzie zaakceptowały środowiska „NIE” oraz „Faktów i Mitów”, milicyjny elektorat pogodził się z obecnością na listach Wolnych Konopi, a Wolne Konopie – mimo silnych w tym ruchu sympatii do Janusza Korwin-Mikkego – zaakceptowały współpracę z socjalistami z Kancelarii Sprawiedliwości Społecznej. Jest w tym jakaś polityczna alchemia: stare powiązania zostały zerwane i zaczęły się tworzyć nowe. Co się z nich wykluje?

Dziś znaczenie sukcesu Palikota jest jeszcze kwestią sporną. Być może, jak powiedział chiński premier Zhou Enlai zapytany o opinię na temat rewolucji francuskiej, „jest jeszcze za wcześnie, by ocenić to wydarzenie”.

* Autor jest socjologiem, publicystą, członkiem zespołu „Krytyki Politycznej”.



Półdziki klub sportowy

Czuję się tak, jakby otaczali mnie kosmici – ludzie, którzy mało widzą, mało słyszą, mało rozumieją. Chcą nazreć się, pospać, narobić trochę wrzasku i na tym życie im się kończy – mówi **JACEK HOŁÓWKA** w rozmowie z Grzegorzem Miecugowem

Czy ma pan poczucie życia w szczególnym czasie?

– Zupełnie nie. Miałem poczucie życia w szczególnym czasie pod koniec komunizmu, bo wydawało mi się, że może to strasznie gruchnie, a teraz myślę, że po pierwsze: życie w Polsce już jest normalne i zdrowe, a po drugie, że nie grożą nam żadne rzeczy straszne, wobec tego można się spokojnie zająć swoimi sprawami i to właśnie robię.

Czyli nie ma pan poczucia rozpadu znanej nam rzeczywistości?

– Zauważam coś innego, otóż mam wrażenie, że w ciągu ostatnich pięciu lat kompletnie w Polsce zamarła i zdechła kultura dworska.

To znaczy?

– Jeszcze pięć-dziesięć lat temu ludzie zachowywali się wobec siebie względnie uprzejmie i grzecznie. Może to było przeniesione z czasów przedwojennych, ale także ludzie młodszego pokolenia nie mieli poczucia, że muszą zwalczać uprzejmy uśmiech, puszczanie kobiet przodem, nieprzepychanie się na ulicach czy odpowiadanie w możliwie uprzejmy i kompetentny sposób. A teraz to zniknęło. Może to jest związane z moim wiekiem, człowiek, który dobiega siedemdziesiątki, być może nie budzi w naturalny sposób miłych uczuć, ale ze wszystkich stron spotykam się z jakimś zniecierpliwieniem.

I skąd to się bierze?

– Z potrzeby sukcesu, przebicia się przez życie, a efekt tego jest taki, że przeciętny człowiek czuje, że ma prawo wszystkimi pomiatać. Pogardzanie daje mu poczucie siły i dumy. Kiedyś tego nie widziałem. Nawet jeżeli ktoś był niechętnie nastawiony do innych, to jednak to w sobie tonował i trochę się tego wstydził, a teraz to jest rodzaj wyróżnienia, które pozwala się przebić. Proszę zauważyć, że nawet słowo „agresja” zmieniło sens z negatywnego na pozytywny: chcemy coś asertywnie załatwić, to znaczy beczelnie, prowadzimy agresywną kampanię, to znaczy energicznie. Z boksu czy z innego sportu przeniesiono terminologię do życia codziennego i tu te terminy znalazły sobie ohydne prawo obywatelstwa, polegające na tym, że z każdym w każdej chwili mamy wygrywać. To mi się wydaje nieznośne i nawet niesmaczne, dlatego że wygranych będzie po jednym w każdym tłumie, natomiast cała reszta na tym źle wyjdzie.

A to jest nasze własne czy przychodzi z zewnątrz?

– Niestety jest to nasze własne, dlatego że wzięliśmy najgorszą część Rosji i najgorszą część Ameryki.

Jeździ pan często za granicę?

– Teraz już mniej, ale tam też jest gorzej niż kiedyś. Taką Anglię zatruwa pewien rodzaj szorstkości, nieuprzejmości i jest tam dziś wyraźniejszy, niż był kiedyś, chociaż Anglia zawsze miała takie nastawienie.

Powściągliwe...

– Powściągliwe, ale jednocześnie nie wolno się skarżyć, nie wolno narzekać, nie wolno marudzić. Jeżeli ktoś ma uprawnienia do tego, żeby postawić na swoim, to bez oglądania się na innych i bez konsultowania narzuca jakieś rozwiązanie, czasem nieprzyjemne. Ale to wiązało się z minioną epoką imperium brytyjskiego.

A co wzięliśmy z Rosji?

– W Rosji wyższa warstwa była niezwykle uprzejma i świetnie wyrobiona, doskonale wykształcona i bardzo wysublimowana, natomiast niższe warstwy na przemian wpadały w poddańczy albo w beczelny ton, i trochę to właśnie przyszło z dwóch stron.

A z Ameryki co wzięliśmy?

– Ameryka jest krajem ludzi bardzo uprzejmych i wyuczonych trochę przez protestantyzm, a trochę przez wzajemny szacunek płynący z poczucia, że każdy każdemu może się do czegoś przydać. Ale, oczywiście, są tam też ludzie zaczepni, pewni siebie. To najczęściej działo się w slumsach, w dużych miastach. W Polsce też to przede wszystkim pleni się w dużych miastach. Może trochę przesadzam, bo mieszkam w Warszawie, czyli w mieście najbardziej szorstkim i nieprzyjemnym.

Na dłuższą metę taki szorstki styl nikomu chyba się nie opłaca?

– To prawda, to wszystkim tylko psuje nerwy i uczy twardej skóry i nieprzyjemnej niewrażliwości na kłopoty innych. Coraz częściej stajemy w takiej sytuacji, że widzimy bardzo wyraźną niesprawiedliwość w kontaktach międzyludzkich. Kilkakrotnie słyszałem opinie, że życie społeczne stało się teraz takim życiem, jakie toczą dzikie zwierzęta, a ludzi trzeba dzielić na ofiary i drapieżców. Drapieżcy mają wygrywać.

Tak też sądził Nietzsche.

– Nietzsche mówił, że płowa bestia to jest człowiek, który powinien rządzić innymi i nie oglądać się na ten motłoch i na mierzwę. Ale Nietzsche miał także interesującą koncepcję arystokracji moralnej, politycznej, a przede wszystkim kulturowej, literackiej i artystycznej. On oczywiście nie kierowałby się sentymentem ani współczuciem dla ludzi prymitywnych. Problem polega na tym, że teraz właśnie takich

ludzi forsuje się i przepycha, dlatego że oni bardzo szybko się uczą służalczości w stosunku do swoich szefów.

To, że wygrywają bardziej beczelni, jest antyspołeczne.

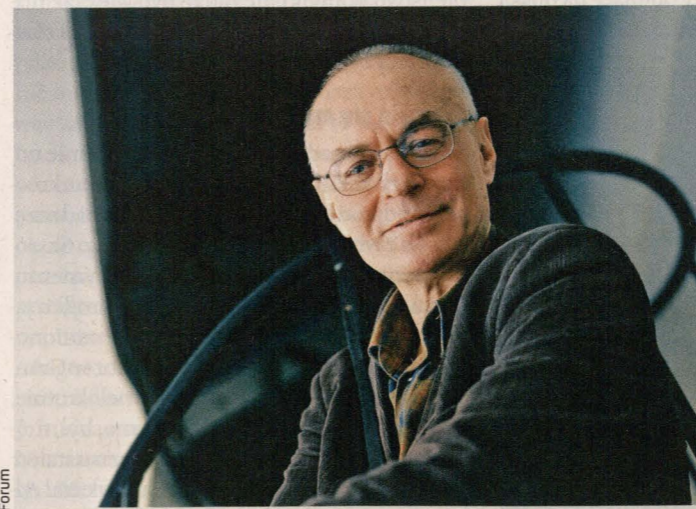
– Tak, to jest antyspołeczne, ale także antyinstytucjonalne. Każda dobrze pomyślana instytucja zaczyna być zakładnikiem i w pewnym sensie ofiarą tych bardzo szkodliwych interakcji międzyludzkich. Bezczelny człowiek przebija się w polityce, często w nauce, na pewno w sporcie, najwyraźniej i najsilniej w biznesie, a co jakiś czas także i w Kościele. Za każdym razem instytucja, która takich ludzi gotowa jest przyjąć – dlatego właśnie, że się wdrapują po plecach innych, co otoczenie bierze za dowód witalności, optymizmu czy determinizmu – traci możliwość zbudowania bardziej subtelnych i delikatnych relacji.

Może taki jest kapitalizm?

– Nasz rynek jest bardzo płytki i każdego w każdej chwili można zastąpić. Nie ma tradycji, nie ma dobrych marek, nie ma woli zyskiwania klientów i potem dobrego ich traktowania. Gdy idę cokolwiek kupić, najczęściej mam do czynienia ze sprzedawcą, który w tej pracy jest od tygodnia i którego ta praca absolutnie nudzi. Jeżeli poproszę o cokolwiek, co odbiega od rutyny, natychmiast mi daje do zrozumienia, że powinienem sobie pójść gdzie indziej. Więc to nie jest tylko kapitalizm. Mówił mi ktoś z zagranicy, że go ostrzegano przed nami, że Polska to bardzo dziwny kraj, bo u nich, jak ktoś zdobędzie sobie klienta, to głównym celem jest przywiązanie go do siebie, a w Polsce chodzi o to, żeby szybko zgarnąć pieniądze i zniknąć, licząc na to, że przyjdą nowi. I pewnie przyjdą, ale w końcu utrwali się negatywna reputacja.

Może nie potrafimy zbudować społeczeństwa?

– Nie potrafimy stworzyć społeczeństwa, w którym byśmy się dobrze czuli. To jest kumulacyjny efekt wielu przeszłych doświadczeń – upadek komunizmu, spadek zaufania do Kościoła, dość niepewna sytuacja na rynku pracy – ktoś, kto ma 50 lat i wyleci z roboty, ma niewielkie szanse, żeby znaleźć jakąś inną. Jakikolwiek próby zmiany tej sytuacji



FOT. Marek Szczepieński/Przekrój/Forum

Jacek Hołowka

68 lat, filozof, etyk. Kierownik i wykładowca Zakładu Filozofii Analitycznej na Uniwersytecie Warszawskim i redaktor naczelny „Przeglądu filozoficznego”, członek Collegium Invisibile. Autor podręczników do etyki i przekładów dzieł filozoficznych z języka angielskiego. Zwolennik legalizacji eutanazji i klonowania embrionów ludzkich do celów medycznych.

są skazane na klęskę, bo właściwie nie mamy się na czym oprzeć. Nie ma ani przekonującej popularnej filozofii, ani silnie działającej religii, która by naprawdę trzymała się wartości chrześcijańskich, czyli miłości bliźniego i szacunku dla innych. Nie mamy także instytucji, które w biznesie, czy w polityce, promowałyby uczciwe zachowania, szacunek dla klienta, budowanie trwałych koalicji, w których jedna osoba może na drugiej polegać. Wobec tego, chcąc nie chcąc, skonstruowaliśmy sobie taki rodzaj półdzikiego klubu sportowego – każdy każdego zniemacka może strzelić w nos, płakać nie wolno, narzekać nie wolno, policji do drobiazgów także się nie wzywa.

A jednocześnie rozwijamy się ekonomicznie. W Europie nie ma kraju, który by poszedł w ciągu ostatnich pięciu lat bardziej do przodu.

– Nie bardzo w to wierzę.

PKB nam wzrosło o 13 procent.

– Wiem, ale stało się tak dlatego, że zmienił się przelicznik złotówki wobec innych walut.

A de facto jesteśmy biedniejsi?

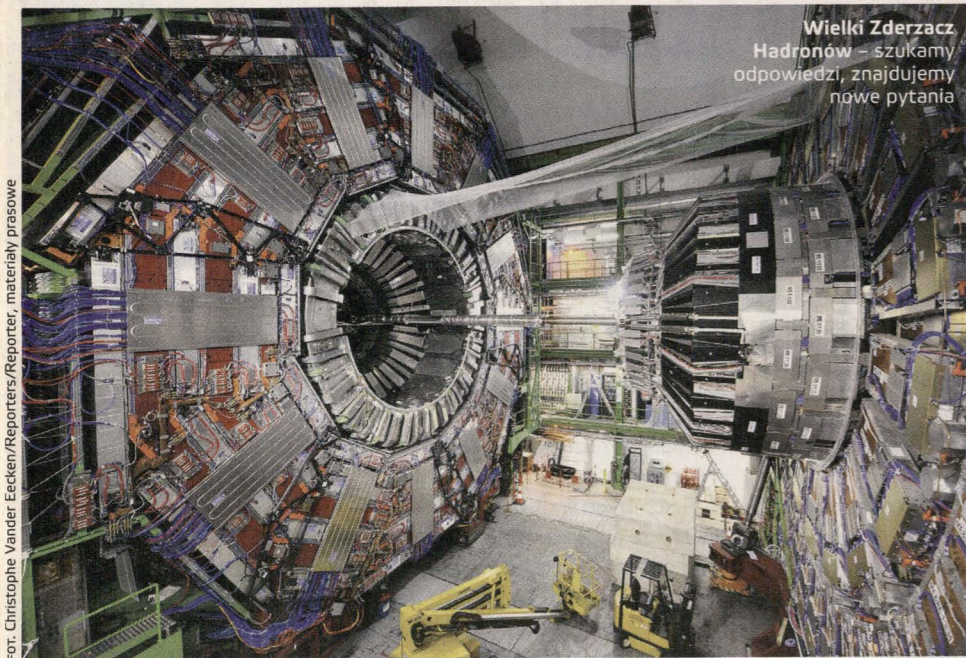
– Wydaje mi się, że gdy kiedyś zechcemy znowu wzmocnić naszą walutę, będzie nam trudno. To jest jak z inflacją, przy jej pomocy bardzo łatwo zmniejszyć bezrobocie, przez obniżanie wartości lokalnej waluty stosunkowo łatwo można nakręcić koniunkturę wewnętrzną, wtedy opłaca się też sprzedawać za granicę. Ale gdybyśmy chcieli wejść do strefy euro, to wchodzić będziemy z bardzo słabej pozycji. Tak mi się wydaje, no ale mogą się mylić, bo nie jestem ekonomistą.

To wróćmy do społeczeństwa, myśli pan, że zmierzanie w kierunku półdzikiego klubu sportowego to jest trwały trend?

– Potrwa jeszcze przez dwa-trzy pokolenia. Często mówiło się, że jakieś pokolenie jest na dorobku. Najpierw w komunizmie się mówiło, że po wojnie jesteśmy na dorobku, potem drugie pokolenie kontynuowało to, co pierwsze. Teraz znów się mówi, że jesteśmy na dorobku. Tyle tylko że ludzie przestali myśleć o czymkolwiek innym poza zarabianiem pieniędzy. Jeżeli istotnie większość myśli o tym, można się spodziewać, że pieniądze będą zarabiali i gospodarka będzie się wzmacniała, to w sensie ekonomicznym może jest to dobra prognoza. Tylko że, moim zdaniem, to jest takie dobrowolne niewolnictwo.

W jakim sensie niewolnictwo?

– Przez chęć budowania szybkiego prywatnego majątku ludzie przestają myśleć o swoim wykształceniu. W zenujący sposób puste by wają sale koncertowe, ogląda się wyłącznie prymitywne filmy, upadły w dużej ilości publiczne biblioteki i nikt z tego powodu nie narzeka, prawie nikogo to nie obchodzi. Od dłuższego czasu nie znalazłem w prasie tekstu, w którym ktoś cytowałby fragment literatury pięknej. Jeszcze 20 lat temu należało do dobrego stylu, że się zacytowało jakiegoś Francuza, Anglika lub Rosjanina, w konkretnym kontekście, bo akurat coś ciekawego miał do powiedzenia, teraz tego nie ma. Zdania są krótkie, język i styl dosadne, o prawdę nikt nie dba. Niemal każde medium za główny cel wybiera szokowanie i zarabianie krótkich, szybkich pieniędzy. Takie używanie kontrastów, przejaskrawionych proporcji, zbyt silnych barw powoduje efekt taki jak przesolone jedzenie albo przesłodzona herbata. Trudno się na to zgodzić, często czuję się tak, jakby w Warszawie otaczali mnie kosmici – ludzie, którzy mają jakieś grube uniformy, mało widzą, mało słyszą, mało rozumieją, są zaprogramowani na robienie pieniędzy. Chcą nazreć się, pospać, narobić trochę wrzasku i na tym życie im się kończy. Niczego więcej nie trzeba, a cała reszta to zawracanie głowy i odrażająca tradycja, a przecież chcemy być wszyscy nowoczesni.



Wielki Zderzacz Hadronów – szukamy odpowiedzi, znajdujemy nowe pytania

Nauka jest zasadniczo nieprzewidywalna – prognozować wielkie odkrycia to jak próbować trafić szóstkę w totka, grając systemem. Szanse podobne jak przy rzucie kostką. Gdy jednak prace badawcze trwają, a wstępne wyniki są jawne, możemy się pokusić o ostrożne predykcje

Stare marzenia i nowe nadzieje

OLAF SZEWCZYK,
WSPÓŁPRACA ANNA PIOTROWSKA

Pod koniec XIX wieku Lord Kelvin, wielce zasłużony kapłan w świątyni wiedzy, wygłosił odczyt, podczas którego oświadczył, że wszystko, co naprawdę istotne, zostało już odkryte i ustalone. Był w błędzie. A im więcej o świecie wiemy, tym większą zyskujemy pewność, że wiemy tyle co nic. Tajemnice, przed którymi stoimy, to za ledwie wrota do pytań jeszcze trudniejszych. Dziś spróbujemy przewidzieć, co ważnego w świecie nauki i technologii – czyli dziedzin, które rzeźbią naszą doczesność w stopniu dalece większym niż działania polityków – wydarzyć się może w roku 2012.

Boska cząstka czy nie?

Polowanie na bozon Higgsa, zwany też boską cząstką, trwa od lat. To ostatnia cząstka elementarna przewidziana przez Model Standardowy, której badacze nie złowili dotąd w swoich detektorach. Gdy wreszcie uda się bezsprzecznie ustalić, że istnieje – naukowcy odetchną z ulgą. Jeśli natomiast bozon Higgsa okaże się ślepą uliczką Higgsa, trzeba będzie zezłomować całkiem niezłą teorię oświetlającą genezę i istotę Wszechświata. Czym wtedy tłumaczylibyśmy masę materii? Oj, to by nie było fajne.



Sztuczne oko Argus II

Genewą – podziemnym akceleratorze o kształcie 27-kilometrowego torusa – z dużym prawdopodobieństwem trafiły na ślad nieuchwytnego tak długo bozonu. Z jak dużym prawdopodobieństwem dokładnie? Jeden zespół określa ryzyko błędu na 1 do 80, drugi: aż 1 do 2000.

Na szczęście dużo wskazuje na to, że już w tym roku bozon Higgsa, dziś hipotetyczny, zyska status niepodważalnego bytu. Niedawno dwa niezależne zespoły polujące na boską cząstkę w Wielkim Zderzaczach Hadronów pod

To, na zdrowy rozum, niemal pewnik sukcesu, ale w fizyce cząstek elementarnych stosuje się bardziej surowe kryteria. Prawdopodobieństwo pomyłki nie może być większe niż 1 do 1,7 miliona. Oby 2012 rok przyniósł równie precyzyjny wynik.

Einstein się mylił?

Świat nauki zadrżał – lub zarżał, zależnie od postawy mentalnej konkretnego naukowca – pod koniec września, kiedy to badacze z CERN i włoskiego laboratorium Gran Sasso w Apeninach ogłosili wyniki eksperymentu OPERA. Polegał on na uwalnianiu w ośrodku jądrowym CERN pod Genewą neutronów minionowych, które przechwytywał detektor w Gran Sasso. Eksperyment powtarzano wielokrotnie, albowiem wynik, który uzyskiwano, był, mówiąc wprost, niemożliwy – w obliczu ustaleń współczesnej fizyki. Jak bowiem wykazał Albert Einstein, nic w przyrodzie nie ma większej prędkości od światła w próżni. A według pomiarów w eksperymencie OPERA neutrony przebywały ponad 700 kilometrów dzielących oba ośrodki z prędkością od światła większą.

Próbowano to rozmaicie tłumaczyć, aby i Einstein był cały, i CERN z Gran Sasso syte. Nie da się. Kolejne doświadczenie przepro-

wadzone w listopadzie, poprawione, mające przywrócić sens współczesnej fizyce – czytaj: spowolnić neutrino do przyzwoitej prędkości – przyniosło taki sam, bezwstydnie niemożliwy rezultat. Liczymy na to, że rok 2012 albo przekreśli ostatecznie wątpliwości sceptyków, albo udowodni, że w dotychczasowych pomiarach przeoczono jakiś kluczowy czynnik. Bo jeśli Einstein się mylił, to świat stanął na głowie – trzeba będzie między innymi zrewidować naszą wiedzę o naturze czasu.

Sztuczne oko

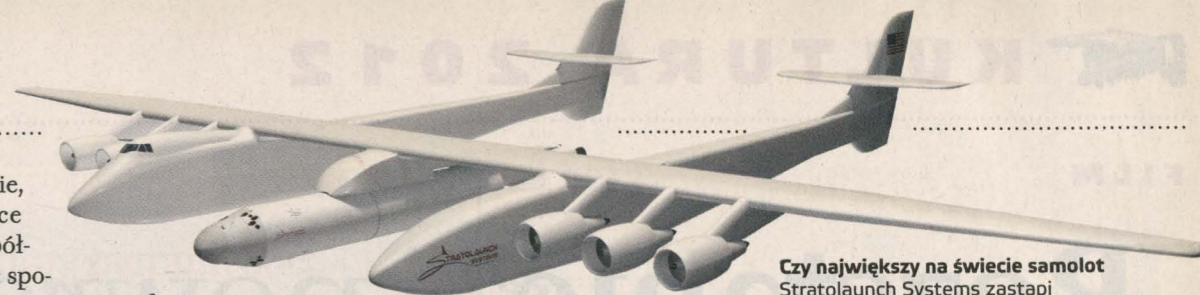
Bez zmysłów, zwłaszcza słuchu i wzroku, byłibyśmy bezradni. Osoby niewidome lub niesłyszące mogą dziś przetrwać tylko dzięki pomocy innych. Technologia medyczna potrafi już całkiem skutecznie pomagać niedosłyszącym i jest na dobrej drodze, by produkować masowo implanty dla osób, które całkowicie straciły słuch. Niewidomi wciąż jednak czekają na przełom. Na szczęście wiele wskazuje na to, że jest on już blisko.

Nad sztucznym okiem pracuje od lat wiele zespołów badawczych. Obecnie szczególnie nadzieje wiążemy z protezą o nazwie Argus, stworzoną w latach 90. przez naukowców z amerykańskiego Doheny Eye Institute i nieustannie udoskonalaną. Pierwszy implant miał tylko 16 elektrod, co jednak pozwalało odróżnić mrok od światłości i z grubsza rozpoznawać zarysy kształtów. Argus II to już 60 elektrod i precyzyjniejsze rozpoznawanie obrysów, podczas gdy trzecia generacja, nad którą trwają prace, liczy 240 detektorów. Uważa się, że przy około tysiącu elektrod proteza umożliwi rozpoznawanie twarzy. Biorąc pod uwagę tempo postępu, być może już w 2012 roku naukowcy przetestują pierwszy tak złożony prototyp.

Argus to niejedyny zaawansowany projekt prac nad sztucznym okiem. Olbrzymie nadzieje budzą między innymi osiągnięcia naukowców z uniwersytetów MIT, Stanforda, w Chicago i Montrealu. Coś jest na rzeczy, a jeśli wierzyć pogłoskom, rok 2012 przyniesie niejednego ekscytującego anons.

Podbój kosmosu Sp. z o.o.

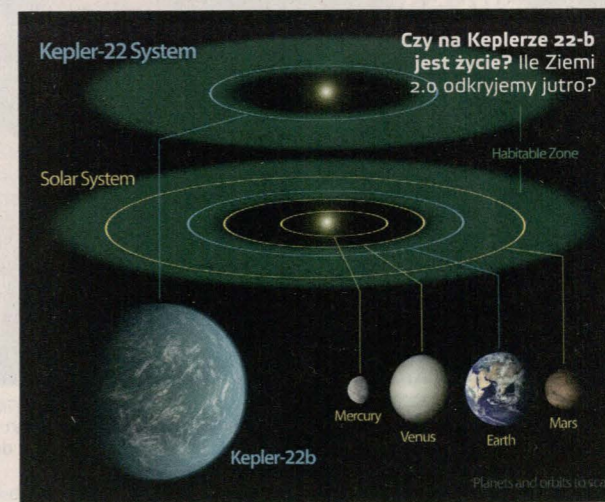
Amerkanie przerobili na żyłki ostatnie wahadłowce, a Rosjanie za transporty na orbitę inkasują bajorńskie sumy. Czyżby świat cywilizacji euroamerykańskiej chciał oddać wal-



Czy największy na świecie samolot Stratolaunch Systems zastąpi wahadłowce?

kowerem kosmosu Chinom i Indiom? Niekoniecznie. Prywatna inicjatywa, zgodnie z duchem najlepszych wolnorynkowych tradycji, bierze sprawy w swoje ręce.

Paul Allen, współzałożyciel Microsoftu, filantrop i wizjoner, ogłosił w grudniu ambitny plan stworzenia taniego prywatnego transportu kosmicznego. Znowu łączy siły z Elbertem L. „Burtem” Rutanem, którego SpaceShip-



Czy na Keplerze 22-b jest życie? Ile Ziemi 2.0 odkryjemy jutro?

One był pierwszym prywatnym załogowym latawcem, jakie wzniósł się ponad atmosferę. Stratolaunch Systems, bo tak nazywa się firma Allena i Rutana, zbuduje największy w historii samolot transportowy. Napędzany przez sześć silników wykorzystywanych przez boeingi 747, o rozpiętości skrzydeł powyżej 115 metrów, wzbije się na wysokość 2400 kilometrów. Tam uwolni właściwy pojazd orbitalny, który doleci we wskazane miejsce – na przykład do Międzynarodowej Stacji Kosmicznej.

Radykalne zmniejszenie kosztów podróży na orbitę otwiera oszałamiające perspektywy przed nauką i przemysłem (doświadczenia i produkcja w warunkach braku grawitacji). To także szansa na łatwiejszy pierwszy krok ku dalszej eksploracji Układu Słonecznego.

Ile w nas z neandertalczyka?

Rok 2012 powinien przynieść wyjaśnienie zagadki zagłady neandertalczyków. Pracujący w Lipsku, w Max-Planck-Institut für evolutionäre Anthropologie szwedzki genetyk Svante Pääbo prawie skończył sekwencjonowanie ge-

nomu naszych kuzynów. Być może geny odpowiedzą na pytanie, co się z nimi stało: czy wyginęli (a jeśli tak, to dlaczego), czy też zostali wchłonięci przez naszych przodków z gatunku *Homo sapiens*, którzy około 45 tysięcy lat temu zaczęli napływać do Europy.

Badania zespołu Pääbo obejmują nie tylko neandertalczyka. W 2010 roku opublikował on pracę na temat nieznanego wcześniej hominida, którego kości znaleziono w jednej z rosyjskich jaskiń Kaukazu – o wdzięcznej nazwie Denisowa. Tajemniczy przedstawiciel rodzaju *Homo* nie był neandertalczykiem, ale także skrzyżował się z naszymi przodkami, zapewniając im – co wykazały analizy DNA – odporność na różne choroby. W 2012 roku możemy się spodziewać nowych rewelacji na temat tej istoty oraz wyników badań innych archaicznych szczątków. Być może gatunków człowieka było więcej niż kilka.

Mnóstwo zamieszkałych planet

O tak, tego byśmy chcieli. Wszechświat wypełniony zaawansowanymi formami życia niczym w „Gwiezdnych wojnach”. Dziś to co prawda jeszcze science fiction, ale przecież kilka lat temu nikomu nie śniło się, że odkryjemy hipotetyczną Ziemię 2.0.

Nowy Wspaniały Świat nazywa się Kepler 22-b i jest oddalony od Układu Słonecznego o 600 lat świetlnych. Planeta ta jest 2,4 razy większa od Ziemi, za to mniej czasu niż Ziemi zajmuje jej okrążenie macierzystej gwiazdy: 290 dni. Najważniejsze jest to, że na powierzchni panuje średnia temperatura 22 stopni Celsjusza. To oznacza, że może tam być woda w stanie płynnym. A, jak wiemy, pattrząc na Ziemię, rybka lubi pływać. Jeśli gdzieś jest woda, to są i olbrzymie szanse na wyklucenie życia.

Keplerowi 22-b przyglądamy się nie od dziś, trochę jednak trwało upewnienie się co do prawidłowości zebranych danych. Ptaszki ćwierkają, że takich hipotetycznych Ziemi 2.0 astronomowie mają na celowniku całkiem sporo. Zdaje się, że rok 2012 może otworzyć worek pełny ekscytujących niespodzianek. Na isticie kosmiczną skalę.



FILM

„Rozstanie” i powroty

W 2011 na Zachodzie bez zmian. Za to na Południu i Wschodzie...

KAROLINA PASTERNAK

Niewiele pamiętam z «Kleopatry», tyle się wtedy w moim życiu działo – rzuciła kiedyś podczas rozmowy, ku osłupieniu dziennikarza, zmarła w zeszłym roku Elizabeth Taylor. Podobnie było z wydarzeniami filmowymi 2011 roku. Nikt nie nakręcił drugiego „Avatara”. Wojna z 3D skończyła się, zanim się na dobre rozpętała, gdy błogosławieństwo „nowej” technologii dali Werner Herzog („Jaskinia zapomnianych snów”), Wim Wenders („Pina”), a ostatnio nawet Martin Scorsese – jego najnowszy trójwymiarowy „Hugo i jego wynalazek” trafi na polskie ekrany 10 lutego 2012.

To nie był spektakularny rok w światowym kinie popularnym. Nikt się tego zresztą po nim nie spodziewał. Spodziewaliśmy się za to, że da o sobie znać kryzys, że będzie skromniej – to miał być rok „na przeczekanie”. Ale, jak mawiał Sidney Lumet, którego także od kwietnia już z nami nie ma, „arcydzieł się nie planuje, arcydzieła się zdarzają”.

Perła w barłogu

W lutym, w najgorszym od lat – jak zgodnie podkreślali krytycy – konkursie Berlinale, przydarzyło nam się „Rozstanie” Asghara Farhadiego



Simin (Leila Hatami) stawia na „Rozstanie” z mężem i krajem. Czy uda jej się wyjechać?

go – kameralny dramat o irańskim małżeństwie, którego jedna połowa chce zostać w Teheranie, druga – ułożyć sobie życie na emigracji. Siła rażenia obrazu Farhadiego jest olbrzymia. I rośnie, gdy weźmie się pod uwagę fakt, że gdy triumfował w Berlinie, inny irański reżyser Jafar Panahi za podobną szczerłość w pokazywaniu swojego kraju został skazany na areszt domowy, a następnie sześć lat więzienia, dożywotni zakaz filmowania i wyjazdu z kraju.

Z zakazem wjazdu do Cannes (za antysemickie uwagi podczas konferencji prasowej) kończy z kolei ten rok inny tegoroczny triumfator Lars von Trier. Co nie przeszkodziło na szczęście jego „Melancholii” zdobyć świetnych recenzji. Zamiast silić się na prowokację i skandalizowa-

nie, jak czynił to w „Antychryście”, von Trier nakręcił po prostu film o depresji, na którą, jak powszechnie wiadomo, od lat sam cierpi, o ostatecznej rezygnacji z życia. Film, który świetnie koresponduje z „kryzysową” atmosferą ostatnich lat.

Bardziej aktualnym, a zarazem lepiej oddającym ducha epoki tytułem był w tym roku chyba tylko „Wstyd” Steve’a McQueena, którego brak w naszym zestawieniu dlatego, że na polskie ekrany wejście dopiero w marcu.

Coś się dzieje

W kinie amerykańskim rok 2011 nie przyniósł żadnych wolt ani nowych trendów. Najlepiej w zestawieniach box office’u radziły sobie oczywiście filmy familijne (bo szło się na nie rodzinami) i sequele (bo lubimy te piosenki, które dobrze znamy): „Harry Potter”, „Zmierzch”, „Piraci z Karaibów”. Dużo ciekawszy był za to ten sezon w kinie europejskim. Tyle że jego ogniska zapalne zdają się dziś przesuwac.

Na hiszpańskim horyzoncie wciąż nie widać następcy Pedro Almodóvara. Najgłośniejszymi włoskimi filmami ostatnich lat są niezmiernie obraz Nanniego Morettiego. Coraz mniejsza staje się w tym nowym układzie kinematografia rumuńska. Po sukcesach Cristiana Mungiu pozycję utwierdza tam Radu Muntean („Wtorek,

po świętach”). Gwiazdą światowego formatu staje się też bez wątpienia Grek Giorgos Lanthimos, przed rokiem nominowany do Oscara za „Kłta”, w tym nagrodzony Złotą Osellą za najlepszy scenariusz (do „Alp”) na weneckim Biennale.

Ośmieleni tą południowo-wschodnią europejską „nową falą” – czy zupełnie od niej niezależnie – polscy filmowcy też dowiedli w zeszłym roku, że nastąpiła zmiana, że weszliśmy wreszcie na wyższy poziom „techniczny” (dopracowane scenariusze), ale przede wszystkim mentalny. Że potrafimy opowiadać o złożoności naszej historii („Róża”, „W ciemności”), o rodzinnych relacjach („Wymyk”), o izolacji komunikacyjnej, do której paradoksalnie prowadzi nadmiar kanałów („Sala samobójców”). Wreszcie, że na europejskim poziomie umiemy eksperymentować z gatunkami („Daas”).

Janusz Morgenstern, który także już odszedł, powiedział kiedyś, że „dom to nie miejsce, w którym mieszkasz, ale miejsce, gdzie ciebie rozumieją”. W roku 2011 po latach przymusowej mentalnej wyprowadzki z polskiego kina, które zajmowało się głównie miłośnicą na wybiegu i biedaszybami, znów mogliśmy poczuć się na polskich seansach jak u siebie – zrozumiani. Cudowne uczucie.

Najlepsze filmy zagraniczne:

1 „Rozstanie”, reż. Asghar Farhadi

Intensywność, wydawałoby się, niepotrzebnego zła, jakie zalewa życie bohaterów tego wybitnego irańskiego dramatu, przytłacza. Nie ogląda się tego filmu z przyjemnością, a jednak nie sposób się od niego oderwać. *Chapeau bas!*

2 „Kiel”, reż. Giorgos Lanthimos

Najbardziej spektakularna zabawa językiem kina, jakiej podjął się ktokolwiek od lat. Efekt nie jest jednak zabawny. To film tylko dla widzów o mocnych nerwach!



3 „Melancholia”, reż. Lars von Trier

Do planety Ziemi zbliża się planeta Melancholia. Ich zderzenia nie przeżyje nikt. Jedni panikują, inni spokojnie czekają na koniec świata... Wśród nich Kirsten Dunst, która zagrała tu swoją rolę życia.

4 „Wtorek, po świętach”, reż. Radu Muntean

Na początku jest zdrada... Dowiadujemy się, że przykładny mąż i ojciec ma kochankę. Nie znajdziemy jednak we „Wtorku...” ani farsy o cudzołóżniku, ani melodramatu w trójkącie. To opowieść o klasie średniej. Mocna rzecz.



5 „Chłopiec na rowerze”, reż. Jean-Pierre i Luc Dardenne

Bracia Dardenne swoim zwyczajem opowiadają o szarym świecie bohaterów będących z góry „na przegranej”. To, co pokazują na ekranie, rodzi w nas jednak nadzieję na nowy, lepszy świat. Oto magia kina!

6 „Do szpiku kości”, reż. Debra Granik

Rzadko kiedy udaje się tak fenomenalnie przełać na taśmę filmową klimat miejsca i czasu: surowej, podupadłej amerykańskiej prowincji początku XXI wieku, w której człowiek człowiekowi wilkiem, nawet w najbliższej rodzinie.

7 „Drive”, reż. Nicolas Winding Refn

Niezbity dowód na to, że świetnie znana historię (on, ona i ten trzeci, który staje im na drodze do wiecznej sielanki) przy odrobinie filmowego zmysłu i wyobraźni można opowiedzieć tak, żeby widownia oszałała.



8 „Prawdziwe męstwo”, reż. Ethan i Joel Coen

Mało tu męstwa i mało prawdy, dużo za to ironii i *girl power*, bo choć to western, główną bohaterką jest kobieta, a właściwie... dziewczynka. Tylko bracia Coen mogli dokonać czegoś takiego.

9 „Wujek Boonmee, który potrafi przywołać swoje poprzednie wcielenia”, reż. Apichatpong Weerasethakul

Dzieło kłopotliwe. Także z powodu konsternacji, jaką fabuła (spotykamy tu duchy, ludzi przybierających postaci nieludzkie) może wywoływać u zachodniego widza. Warto się przełamać i wejść w świat tajskiego mistrza.

10 „Drzewo życia”, reż. Terrence Malick

Dla jednego arcydzieła i przeżycie metafizyczne, dla innych filmowa grafomania. Jednego nie można Malickowi odmówić: tak bezkompromisowego dzieła filmowego już dawno nie widzieliśmy na dużym ekranie.

for: Gutek Film, Against Gravity, Vivotro, m Cinemas

2011

»»» 2012

Rok spokojnego widza

Fala światowych hitów sprzed roku oraz kilka dobrych polskich filmów czekają na nas w 2012

OLA SALWA

12 miesięcy temu zastanawialiśmy się, czy technologia 3D podbije świat, skoro sięgnęli po nią nie tylko hollywoodzcy wizjonerzy pokroju Jamesa Camerona, ale też autorzy kina europejskiego: Werner Herzog i Wim Wenders.

Dziś wiemy, że zapowiedzi trójwymiarowego blizkriego okazały się przesadzone, choć liczba filmów produkowanych w 3D wciąż rośnie, to ogranicza się do kilku gatunków: animacji (w lutym zobaczycie przepiękną bajkę Martina Scorsese „Hugo i jego wynalazek”), fantasy („Avengers” Jossa Whedona) i przygodówek. Choć i tu są wyjątki. Christopher Nolan, który uwielbia wizualny przepych, postanowił, że Batman będzie latał tylko w dwóch wymiarach, więc film „Mroczny rycerz powstaje” obejrzymy latem bez dodatkowych okularów.

Rok 2012 zapowiada się ciekawie, bo na liście premier znalazło się mnóstwo nowych produkcji starych mistrzów, ale na odkrycia trzeba będzie poczekać do festiwalu w Berlinie, Cannes i Wenecji (kino artystyczne) lub nowych premier w Ameryce (kino mainstreamowe).

Nie znaczy to wcale, że czeka nas 365 dni posuchy, przeciwnie – na polskich ekranach wreszcie zobaczymy obrazy, o których było głośno przez ostatnich kilka miesięcy. Mowa choćby o znie walającej wizualnie i przynębiającej zarazem opowieści o trudnej bliskości („Wstyd” Steve’a McQueena), fantastycznej wyprawie na turecką prowincję („Pewnego razu w Anatolii” Nuri Bilge Ceylana) czy apokaliptycznym poemacie filmowym (ostatnie dzieło kończącego karierę Węgra Béli Tarra, „Koł tu-ryński”). Bruno Dumont przedstawi kolejny rozdział świeckiego moralitetu („Poza szatanem”), Urszula Antoniak zaszokuje intymnym spotkaniem ze śmiercią („Code Blue”), a Andrea Arnold oprowadzi po nieco innych „Wichrowych wzgórzach”. Takie nadrabianie zaległości to żaden obowiązek, ale czysta przyjemność obcowania z mądrym, prowokującym, wyrotowym kinem. Czyli takim, na jakie czekamy w Polsce. Zeszłoroczny festiwal w Gdyni – szczególnie dobre debiuty – rozbudził apetyt. Obok wyśmienitej „Róży” Wojtki Smarrowskiego, w tym roku zobaczymy odważny „Sponsoring” Małgorzaty Szumowskiej o prostytutujących się studentkach, „Baby blues” Katarzyny Rosłaniec o nastoletniej matce – być może, bo data premiery jest jeszcze nieustalona – „Blind Watching” Andrzeja Jakimowskiego oraz bardzo oczekiwane „Pokosie” Władysława Pasikowskiego, film dotykający tematu pogromu Żydów w czasie II wojny światowej. Czekamy też na człowieka ze stoczni, czyli „Walęse” Andrzeja Wajdy, który ma się pojawić w kinach jesienią. Ciekawie zapowiadają się zagraniczne filmowe biografie: „Żelazna dama” z Meryl Streep w roli Margaret Thatcher i „J. Edgar”, gdzie tytułowego szefa FBI zagrał Leonardo DiCaprio. Poza tym w kinach pojawiają się nowe części „Zmierzchu” (liczymy, że wreszcie zapadnie), „Spider-Mana”, „Facetów w czerni” oraz nowy cykl o herosach – „Avengers”. Być może nowy rozdział w historii kina stworzy znów Peter Jackson z baśnią „Hobbit: Niezwykła podróż”, w końcu dekadę temu trylogią „Władca pierścieni” wylansował modę na fantasy. Czy będzie fantastycznie? Zobaczymy na własne oczy.

Rok w rozkroku

Do kogo należał rok 2011 w muzyce popularnej? Do nikogo – muzyka wbrew pozorom przestaje być popularna

JAREK SZUBRYCHT

Czy zapamiętamy 2011 jako rok Amy Winehouse, bo zrozumieliśmy, jak wielką i trudną do zapelnienia wyrwę po sobie zostawiła? A może to był czas Adele, która najpierw zdominowała wszystkie listy przebojów, by potem znacząco zamilknąć (zyczymy powrotu do zdrowia), lub Rihanny, która nie tylko daje, ale i zdejmuje z siebie wszystko? Czy jednak był to rok Lady Gagi, której wciąż wszędzie było pełno, choć zabrakło najważniejszego: dobrych piosenek? No bo przecież nie Coldplay, którzy... (przepraszam, ale zasnąłem w połowie zdania i zapomniałem, co miałem napisać).

Everybody klaszcza

W Polsce? Muzyka jest najważniejsza. Wystarczyło włączyć dowolnie wybrany kanał telewizyjny, by przekonać się, że ludzie żyją tylko muzyką – mnogość talent show przyprowadziła o zawrót głowy, zdawać się mogło, że cały naród śpiewa, gra i tańczy, a w najgorszym wypadku klaszcze. Tyle tylko że dziś już chyba nikt, łącznie z uczestnikami owych programów, nie wierzy w ich moc sprawczą. Co jest nie tylko kwestią przesytu, ale też faktu, że o ile jeszcze parę lat temu roztańczenie przed tymi wszystkimi utalentowanymi młodymi ludźmi wizji oszalałającej kariery było obiecywaniem gruszek na wierzbie, o tyle dzisiaj gołym okiem widać, że... nie ma wierzby. Rynek fonograficzny na całym świecie się kurczy, a jak mikry jest u nas, bolesnie dowiodły zorganizowane w tym roku po raz pierwszy



Kolejny rok minął, a Nosowska wciąż rządzi

targi muzyczne „Co Jest Grane”, które obnażyły wszystkie ułomności branży. Krótko mówiąc: jest nas mało, mamy mało pieniędzy i jeszcze mniej dobrych pomysłów. Jeżeli jednak coś drgnie, to właśnie dzięki takim inicjatywom, więc trzymam kciuki za przyszłoroczną edycję.

I znowu obchodziliśmy śpiewając co kilka rocznic, i znowu powstawały płyty ku czci – tym razem na nuty przemielono Czesława Miłosza. Choć wyszło lepiej niż zazwyczaj (od festiwalu Sacrum Profanum poczynając, przez Soykę, Mozila i Zaryan, na alternatywnej supergrupie Rosemary's Kids kończąc), mam już tych koncertów i wydawnictw „ku czci” serdecznie dość. Nie mogę się pozbyć wrażenia, że sponsorowane lub/i promowane przez państwo pokłony przed naszym dziedzictwem kulturowym odbierają twórcom i publiczności ochotę do samodzielnego

myślenia. I że zamiast gonić świat, jeszcze szczerzej zamykamy się w naszej ciasnej konserwie.

Kup pan płytę

A skoro już o wielkim świecie mowa, tam o świeżym krew też niełatwo. Najważniejsze płyty sezonu nagrali albo starzy wyjadacze (Tom Waits, PJ Harvey), albo młodzież starsza, co się na dziadkach wzoruje (Bon Iver). Młodszy młodzież nieźle kombinuje, choć to, co na początku roku zapowiadało się na nowy, interesujący trend, zatrzymało się na poziomie kilku ważnych płyt (James Blake, Jamie Woon, Katy B) – ale dobre i to. Tym bardziej że w tym świecie nikt za nowymi trendami się nie rozgląda. Do przodu są ci, którzy grzebią w przeszłości, nostalgicznie zżera z równym apetytem amatorów list przebojów i awangardzistów, a jeśli czegoś jeszcze nie było, to nic z tego nie będzie.

Top 5 płyty zagraniczne:

- 1 Bon Iver „Bon Iver, Bon Iver”
- 2 Tom Waits „Bad As Me”
- 3 PJ Harvey „Let England Shake”
- 4 James Blake „James Blake”
- 5 Feist „Metals”

Top 5 płyty polskie:

- 1 Nosowska „8”
- 2 Pablopavo i Ludziki „10 piosenek”
- 3 Twillite „Quiet Giant”
- 4 Julia Marcell „June”
- 5 Łona i Webber „Cztery i pół”

Głosowali: Łukasz Dunaj (ulubione płyty roku: Tom Waits „Bad As Me”, Deriglasoff „Noże”), Marcin Flint (Kendrick Lamar „Section.80”, Pablopavo „10 piosenek”), Anna Gromnicka (Bon Iver „Bon Iver, Bon Iver”, Ballady i Romanse „Zapomnij”), Mariusz Herma (Bon Iver „Bon Iver, Bon Iver”, Paweł Mykietyn „Pasje wg św. Marka”), Angelika Kucińska (James Blake „James Blake”, Julia Marcell „June”), Jarek Szubrycht (też Bon Iver, kRk „Msza święta w Brąszewaldzie”), Bartek Winczewski (i znowu Bon Iver, Nosowska „8”).

2011 »»» 2012

Się ściemnia

Czym zaskoczy pop, które drzwi wyważy alternatywa, kto będzie rządził światem metalu, a kto hip-hopu? Naprawdę, jaki będzie 2012 rok, nie wie nikt, choć kilka sytuacji można przewidzieć

ANGELIKA KUCIŃSKA, MARCIN FLINT, ŁUKASZ DUNAJ

Cały ten pop

Skąd będziemy brać muzykę? Czy cyfrowa dystrybucja ostatecznie wyprze fizyczne nośniki? Czy w twórczości się skończą? I czy głos rekomendacji znajomego w portalu społecznościowym? Rynek się zmienia – zarówno na poziomie tworzenia, jak i sprzedaży muzyki – ale to proces rozpisany jeszcze na kilka lat. Nie powinno być zaskoczeniem, że najlepiej zniosą go niezależni – elastyczni, otwarci, skłonni do adaptacji. Czy widać na horyzoncie jakieś młode gwiazdy? Honoru interdyscyplinarnego folku będą bronić głośni i natchnieni Dry the River. Wielkomięski *songwriting* w słusznym kierunku pociągnie Zoo Kid, nieletni rudzielec z Wielkiej Brytanii. A Two Wounded Birds, krzyżujący lekką, surfową melodykę z punkowym brudem, zostaną nowym ulubionym zespołem rockandrollowej publiczności. A przynajmniej powinni.

Rok 2012 będzie decydujący dla Lady Gagi – tej samej, która kilka lat temu narzuciła nowy porządek listom przebojów i przywróciła rozmach w myśleniu o popowych videoklipach. Gaga realizowała swój cel według strategii godnej Warhola, łącząc muzyczną świadomość i umiejętności kontrolowanej prowokacji. Dawno w mainstreamowej piosence nie było gwiazdy tak zdystansowanej do bycia gwiazdą i jednocześnie tak zdeterminowanej, by nią zostać. Co dalej? Terapia szokowa spowszechniała, Lady Gaga nagrała słabą płytę (wydana w mijającym roku „Born This Way”) i dawno przekroczyła granice odzieżowego skandalu – jedyne, co może ją ocalić, to dobry album, po prostu. Nowatorski. Świeży. Ale prawdę mówiąc, taką płytę jest w stanie nagrać wyłącznie Justin Timberlake.

Generacja nic (nowego)

Nie jesteśmy pierwszą generacją, która ma wrażenie, że wszystko już było, że muzyka się skończyła, że za zakrętem nie ma już nic. Co oczywiście może oznaczać, że tylko nie wiemy, gdzie patrzeć (moi znakomici koledzy na stronie obok mimo wszystko próbują), ale na szczęście i tak czeka nas rewolucja, po której przyjdzie nowe.

Albo że rzeczywiście wszystko już było.

Okaze się, czy nowojorczyk A\$AP Rocky rzeczywiście zasłużył na zachwyty słynnego radia Hot 97 i nominację do BBC Sound of 2012. A może niespieszne rymy i hipnotyczne bity pójdą w niepamięć, gdy w końcu pojawi się przesuwane „Live From The Underground” Big K.R.I.T.’a? Dumny reprezentant stanu Missisipi ma naprawdę duży potencjał. W marcu ukazuje się „Strange Clouds”, będzie okazją, by sprawdzić formę B.o.B., najwdzięczniejszego spośród hip-hopowych graczy. W maju zrehabilitować ma się mroczny skandalista Tyler, The Creator. Oby „Wolf” okazał się lepszy od „Goblina”... Gdzieś na horyzoncie widać nowe płyty niezawodnych: Nasa, Big Boia z OutKast i Ricka Rossa.

Na scenie R’n’B nieco stagnacja, bo po marcowej Leonie Lewis czy majowej Mary J. Blige nikt rewolucji raczej nie oczekuje. Sporo ożywienia może wnieść brytyjskie „en vogue dla dorosłych”, czyli StooShe, ale tak naprawdę czekamy na ruch Janelle Monáe, królowej 2010 roku. I oczekiwanie to umilić nam może reggae. Tu lada chwila dwa mocne krążki – styczniowy „Crying to the Nation” I-Octane’a i lutowy „Mental Maintenance” Konshensa.

W Polsce już w lutym „Radio Pezet”: połączenie hip-hopu, grime’u i dubstepu sygnowane przez Pezeta i Sidneya Polaka. Single napawają niestety niepokojem – nie mniejszym niż tytuł drugiej płyty vnm-a: „Etenszyn: Drimz Kamyn Tru”. Podopieczny Prosto warsztat ma, tylko wyczucia mu brak. To rzecz jasna nie wszystko: weteran o.s.t.r. wydaje z Tabasko, a żółtodziób Gedz mierzy ze swym nadzwyczaj lekkim, melodyjnym stylem w tytuł debiutanta roku 2012.

Rasowe, czarne dźwięki znajdują też na „3,2,1...!” funkcore’owej Mamy Selity, albumie ska-jazzowego The Bartenders (gościnnie światowe sławy – Dr. Ring Ding i Daniel Broman) czy krążku reggae’owego nawijacza Bob One’a.

Skup złomu

Podczas gdy kibiców do białoczerwoności rozpalać będzie turniej Euro 2012, tysiące fanów ciężkiego rocka

rozpoczną pielgrzymki po Europie, aby po raz prawdopodobnie ostatni oddać hold Black Sabbath w oryginalnym składzie.

Ojcowie-założyciele heavy metalu szykują także pierwszy wspólny album od czasu „Never Say Die” (1978!), w cieniu wielkiej brody samego Ricka Rubina. To będzie wydarzenie lub symboliczny koniec pewnej epoki. Jubileuszowe bachanalia rozpocznie także Metallica, świętująca 30-lecie działalności. Podobno w przyszłym roku planuje odgrywanie w całości „Czarnego Albumu” z 1991 roku, który sprzedał się do tej pory w liczbie 22 milionów egzemplarzy.

Na szczęście, oprócz licznych akademii i kolejnych cudownych ozdowień (w przyszłym roku witamy ponownie między innymi Garbage i The Cranberries), doczekamy się też nowych płyt współczesnych metalowych wizjonerów: Meshuggah, Sunn O))) i francuskiej Gojiry. Wiele można sobie także obiecywać po wy-czekiwanych od lat albumach Tool i Queens Of The Stone Age. Po cichu liczymy jednak na debiutantów na miarę Kvelertak (sprzed roku) i Turbowolf (z mijającego).

Janelle Monáe zapowiada na 2012 rok dwie płyty. Wystarczyłaby jedna, a dobra



SZTUKA

Brand Polska

MOCAK, Żydzi w Wenecji i rock'n'roll Zbigniewa Libery. To był mocny rok

STACH SZABLŃWSKI

Taki rok prędko się nie powtórzy. Na biennale w Wenecji Polskę reprezentowała izraelska artystka, która zaprosiła do naszego kraju trzy miliony zamordowanych Żydów i obsadziła Sławomira Sierakowskiego w roli nieboszczyka. Tymczasem polscy ludzie sztuki stanęli razem z władzą pod sztandarem prezydencji i wzięli udział w bezprecedensowej ofensywie artystycznej na Zachód. A także na Wschód, bo najbardziej rozpędzeni emisariusze naszego przewodnictwa w Unii Europejskiej dotarli aż do Japonii. Przewodnim tematem 2011 roku była estetyka marketingu i promocji, a także dyplomacja kulturalna. W jej cieniu zawitało do Polski kilka ciekawych gwiazd ze świata i otworzyło się jedno nowe muzeum. I nic nie zapowiadało, że ten mocno upolityczniony rok zakończy dziki, autentycznie rock'n'rollowy akord wydobyty z basu Zbigniewa Libery i gitary Grzegorza Drozda.

Stary Kraków i może

W maju Kraków otworzył nowe Muzeum Sztuki Współczesnej. W różnych miastach dużo się mówi o budowaniu muzeów, ale krakowiacy jako pierwsi przekuli słowa w czyn. Nowa instytucja nie ma kompleksów. Jest świadoma swej siły i nazywa się mocak. Cóż to za moc? Potężna standardu; takie muzeum mogłoby stać wszędzie na świecie; pachnie nie Krakowem, lecz uniwersalną dobrą jakością i profesjonalizmem. mocak to więcej niż nowa placówka kulturalna, to widoczny znak krzepy tężejącej

go systemu instytucjonalnego sztuki w Polsce.

Z Krakowa przenosimy się do Wenecji. Jest czerwiec 2011. W Pawilonie Polonia na Biennale Sztuki jesteśmy świadkami historycznej chwili; oto Polskę po raz pierwszy reprezentuje artystka nie z naszego kraju. Nazywa się Yael Bartana i jest z Izraela. Pokazuje filmowy tryptyk „I zadziwi się Europa”. I rzeczywiście, Europa jest miło zaskoczona, jak otwarta, nowoczesna i wyzbyta dawnych uprzedzeń stała się dziś Polska. Na szczęście jednak w tej historii chodzi o coś więcej niż o manifestację ducha internacjonalizmu ożywiającego nasz kraj.

W pierwszym z trzech filmów pokazanych w Wenecji Bartana ukazuje Sławomira Sierakowskiego, który na zrujnowanym warszawskim Stadionie Dziesięciolecia zaprasza do powrotu trzy miliony polskich Żydów zamordowanych w czasie Holokaustu. W następnych częściach artystka rozwija tę metaforę – równie prowokacyjną dla Polaków, jak i dla Izraelczyków, choć z różnych powodów – w rozbudowane *political fiction*. Powołuje do życia fikcyjny ruch społeczny, uśmierca jego lidera, tka gęstą pajęczynę symboli, surfuje na falach różnych ideologii, działa na cienkiej granicy dzielącej realne od wyobrażonego.

Kluczowe idee przedsięwzięcia Bartany zostały dość dokładnie przedyskutowane i oswojone w Polsce po premierze cztery lata temu pierwszej części cyklu, „Marów Koszmarów”. Być może dlatego wystawa w Wenecji nie rozemocjonowała nas



FOT. BARTOSZ BOBKOWSKI/AG

– W Izraelu niektóre portale internetowe po opublikowaniu wiadomości, że jadę do Wenecji, wysłały mnie do komory gazowej – mówi Bartana

tak bardzo, jak by można się spodziewać. Oglądany świeżym okiem projekt „I zadziwi się Europa” okazuje się jednak najpoważniejszą propozycją artystyczną, jaką złożono nam w tym roku. To spełnione dzieło sztuki – takiej, która pojmowana jest jako przestrzeń do rozwijania skrzydeł politycznej wyobraźni, wysoce ekspresyjnych kompozycji idei, karikatolnych spekulacji i intelektualnej prowokacji.

Wystawa Bartany była jeszcze świeża, kiedy nadeszło lato, a wraz z nim polska prezydencja w UE. Nie było wakacji. Na zagraniczny program kulturalny towarzyszący naszemu przewodnictwu w UE złożyło się 400 wydarzeń w 10 stolicach – od Madrytu po Tokio. Równie imponująca liczba projektów uświetniła je w kraju. Wiele z tych

przedsięwzięć należało do dziedziny sztuk wizualnych. Wiele to mało powiedziane. Prawdę mówiąc, w drugiej połowie zeszłego roku trudno było znaleźć poważnego artystę, który w jakiś sposób nie byłby zaangażowany w prezydencję. Wszystkim przyświecał wspólny cel strategiczny – promocja „brandu Polska” na arenie międzynarodowej – by posłużyć się językiem Instytutu Adama Mickiewicza, odpowiedzialnego za program zagraniczny. Były też mniejsze cele, taktyczne – skorzystanie z dodatkowych budżetów, które państwo rzuciło „na kulturę” – bo w czasie polskiego przewodnictwa w Radzie UE zorientowany na zagranicę IAM stał się niespodziewanie i paradoksalnie najpotężniejszym producentem kulturalnym w kraju.

Zrealizowano przy okazji wiele dobrych rzeczy; wystawę Aliny Szapocznikow w Brukseli, Wilhelma Sasnala w Londynie, ciężką i przeladowaną, ale w ostatecznym rachunku ważną superwystawę Andy Rottenberg „Obok. Polska – Niemcy. 1000 lat historii w sztuce” w Berlinie. Nie chodzi jednak tylko o poszczególne wydarzenia; najważniejsze, że w polskim społeczeństwie znalazło się wreszcie miejsce dla współczesnej sztuki. W latach 90. nie wiadomo, co z nią właściwie zrobić. Wydawała się niezrozumiała, potencjalnie wywrotowa i niebezpieczna. Teraz okazało się, że doskonale nadaje się do promocji naszego kraju, artyści nie są wcale tacy straszni i potrafią godnie reprezentować Polskę jako kraj ludzi kreatywnych, krytycznie myślących i innowacyjnych. Czy III RP dorobiła się swojej sztuki oficjalnej? Czas (i nadchodzący podobno Wielki Kryzys) pokaże, czy sojusz państwa i sztuki miał charakter li tylko taktyczny, czy też oboje będą żyli razem długo i szczęśliwie.

Wirtuozi nie swoich instrumentów

W roku 2011 Polska duża część polskiej sceny artystycznej była duchem i ciałem za granicą. Nic dziwnego, że do najciekawszych wystaw, które zdarzyły się na miejscu, należały solowe występy zagranicznych gwiazd, takich jak niemiecki gigant malarstwa Neo Rauch, niemiecki gigant fotografii Wolfgang Tillmans (obaj w Zachęcie) czy rewelacyjna (Afro)Amerykanka Kara Walker (csw Zamek Ujazdowski). Ja jednak na moje ulubione wydarzenie artystyczne 2011 musiałem czekać aż do grudnia. Przybrało ono postać winylowej płyty oraz koncertu zorganizowanego przez warszawski Piktogram we współpracy z czeskim wydawcą muzyki eksperymentalnej Faust Records. Co to ma wspólnego ze sztuką? Otóż mowa tu o płycie „Kokatao”, nagranej przez Zbigniewa Liberego i Grzegorza Drozda. Obaj panowie znani są jako artyści wizualni, obaj uchodzą za *enfants terribles* sztuki, choć każdy gra tę rolę na swój sposób. O tym, że grają muzykę, krążyły tylko pogłoski – coraz intensywniejsze, od momentu kiedy rok temu Drozd i Libera weszli do studia w czeskiej Pradze, aby razem pomuzykować. 9 grudnia stanęli przed publicznością – nie w klubie, lecz oczywiście w galerii. Czy przyzwócicie zagraли? Równie dobrze można by dociekać, czy muzycy wczesnego Joy Division byli wirtuozami swoich instrumentów. Liczy się to, że Libera & Drozd dali czadu i zrobili trochę rock'n'rolla, którego w sztuce 2011 jakoś brakowało.

2011 »»» 2012

Na co czeka sztuka

Koniec świata? Wielki kryzys? Jak na razie rok 2012 składa nam nieprzyzwoite obietnice. Prezentujemy tę najciekawszą, za którą stoi **ARTUR ŻMIJEWSKI**

STACH SZABLŃWSKI

Pisząc wprost, nie możemy się doczekać jej realizacji. 27 kwietnia otworzy się 7. Biennale Sztuki Współczesnej w Berlinie. Co z tego? Biennale jest przecież w Europie jak psów; nikt nie ma już siły, aby na nie jeździć. Tyle że wszystko wskazuje, że to biennale będzie inne niż wszystkie. W Polsce budzi ono emocje już choćby dlatego, że kuratorem jest nasz kraj, Artur Żmijewski.

Powiedzmy sobie szczerze: z naszych dawnych prowincjonalnych kompleksów tak do końca się nie wyleczyliśmy i wciąż lubimy, kiedy „nasi” robią na Zachodzie coś ważnego; grają w Borussi Dortmund albo urządzają wielką międzynarodową wystawę w stolicy Niemiec. To jednak jeszcze nie rewelacja; cztery lata temu berlińskiemu biennale również kuratorował Polak, Adam Szymczyk z Bazylei. A więc norma? Jednak nie. Szymczyk to postać z europejskiego establishmentu artystycznego, człowiek z elitarnej kuratorskiej międzynarodówki, która kieruje tego typu imprezami niejako na prawach nomenklatury. Żmijewski jest ulepiony z innej gliny. Po pierwsze, jest artystą. Po drugie... nie interesuje się sztuką. A właściwie wręcz

przeciwnie. Interesuje się bardzo, ale nie sztuką samą w sobie, lecz jej społecznym i politycznym miejscem – a także, *last but not least*, polityczną skutecznością.

Biennale Żmijewskiego zapowiada się na eksperyment. Jego wynik jest nieznan, ale jedno jest pewne. Nie będzie to kolejna wystawa, polegająca tylko na tym, że topowi artyści ze świata wystawią w berlińskich galeriach swoje dzieła, a potem zabiorą je i sprzedadzą na targach sztuki – choć to również będzie miało miejsce. Ono może być reaktywacją sztuki zaangażowanej, pojętej jako polityczna. Może być także takiej sztuki łąbędzim śpiewem. Możliwe też, że biennale się skończy i nic się zmieni – ale mam przecucie, że nawet w takim wypadku będziemy długo dyskutować o tym, co wydarzy się na wiosnę w Berlinie.

Minęło pięć lat, od kiedy Artur Żmijewski został dyrektorem artystycznym „Krytyki Politycznej” i opublikował na jej łamach manifest „Stosowane sztuki społeczne”. Postulował w nim bezpośrednie zaangażowanie artystów w debaty i działania polityczne, domagał

się od sztuki realnego wpływu na rzeczywistość społeczną. Tekst wywołał burzliwą dyskusję na temat autonomii sztuki, jej niezależności i instrumentalizacji. W tej debacie przeważały wątpliwości i tony krytyczne wobec postawy Żmijewskiego. Nie zmienia to faktu, że jego głos pozostaje jedynym wyrazistym stanowiskiem ideowym, jakie zostało sformułowane na gruncie polskiej sztuki na przestrzeni ostatnich lat. Czy sztuka potrzebuje idei? Pytanie jest retoryczne. Współczesna produkcja artystyczna rozkręciła się na bezprecedensową skalę, twórców są niewiedziane wcześniej legiony, ale im wszystkiego jest więcej, tym wyraźniej widoczna staje się ideowa pustka wypełniająca ten rozbudowany system. Intelktualny i moralny kryzys sztuki jest faktem tym bardziej oczywistym, im mniej się o nim mówi.

W Berlinie Żmijewski zamierza przenieść postulaty, które formułował w Polsce, na scenę międzynarodową. Jako artysta został przez społeczeństwo obdarzony pewnym zakresem symbolicznej władzy. Teraz jako kurator ma jej nieporównanie więcej – i wygląda na to, że nie zawaha się jej użyć.



Artur Żmijewski sprawdzi skuteczność sztuki na biennale w Berlinie

FOT. AGNIESZKA SADOWSKA/AG



Andrzej Franaszek, jeden z bohaterów Roku Miłosza

Parę lat temu pisał na tych łamach, śmiejąc twierdząc, że nie bez racji, pewien recenzent książkowy: „Wszyscy to znamy”. Recenzenci sztuk wszelakich zaczytują rok od zapowiedzi wydarzeń nadchodzącego sezonu, a kończą jego podsumowaniem. Tak już jest i nic na to nie można poradzić, bo zapowiedzi, podsumowania i rankingi należą dziś do ulubionych wytworów ludzkiego ducha. No i doroczne nagrody – na przykład literackie, których coraz to u nas więcej – przyznawane na podstawie podsumowań dokonywanych przez jury. Nic w tym złego, rzecz jasna.

Z drugiej strony, jest w tym procedurze jakaś urzędowa, nieco nużąca monotonia i kiedy przychodzi co do czego, nieodmiennie przypominam sobie dawny wiersz Adama Zagajewskiego: „Naprawdę są plany/potem sprawozdania/ Oto jakim językiem/ umiemy się porozumiewać/ Wszystko musi być przewidziane/ O wszystkim trzeba/ później opowiedzieć/ To, co zdarza się naprawdę/ nie zwraca niczyjej uwagi”. Wiersz jest o czym innym, ale i do książkowych podsumowań pasuje niezgorzej. Dość jednak marudzenia, trzeba się brać do roboty.

Po pierwsze, książek było bardzo, bardzo dużo. Nie ma nikogo, kto przeczytałby to morze papieru, ba, nie ma chyba nikogo, kto przeczytałby wszystko z tego, co wydało mu się zdane do przeczytania. Tak się też złożyło, jak zwykle, że i w „Przekroju” pisaliśmy tylko o drobnej części tych tegorocznych książek, które się nam jednak przeczytało. Jak było? Opowiem, co zapamiętałem.

A do zapamiętania było całkiem mnóstwo rzeczy – na tyle różnych od siebie, że nie ma najmniejszego sensu układanie ich „według stopnia fajności” i dodawanie im kolejnych numerków. Mieliśmy więc oczywiście Rok Miłosza, który przebiegł chyba znośnie i, zdaje się, w ogólności lepiej, niż się można było spodziewać, bo po-

Nieźle, znośnie, wspaniale

Było ciekawie, ale większość tego, co najlepsze, wychynęła z przeszłości

MARCIN SENDECKI

jawilo się parę ciekawych dyskusji. Zostań zę także monumentalna biografia poety pióra Andrzeja Franaszka („Miłosz”, Znak) – jako materiał do niekoniecznie wesołych rozmyślań – opracowany przez Barbarę Toruńczyk i Roberta Papieskiego zbiór źródeł „Czesław Miłosz/ Jarosław Iwaszkiewicz. Portret podwójny” (Zeszyty Literackie). Co do Jarosława Iwaszkiewicza, to ukazał się finałny, z prostych względów bodaj najbardziej przygnębiający tom „Dzienników” z lat 1964–1980 (Czytelnik). Dostaliśmy także drugi i ostatni tom „Dzienników. Zeszytów podróży” Edwarda Stachury (opracowanie Dariusz Pachocki; Iskry). Mieliśmy także minifestiwal książek obchodzącego 90-lecie Tadeusza Różewicza, zwieńczony zbiorem różnych wywiadów z poetą (od lat 50. po dziś dzień) – tom nazywa się „Wbrew sobie”, opracował go Jan Stolarczyk, a wydało Biuro Literackie.

To samo wydawnictwo rozpoczęło edycję „Dzieł zebranych” Tymoteusza Karpowicza. No i – żeby nie katować już tu państwa poezją i poetami – wspomnę jeszcze tylko o przygotowanym przez Ryszarda Krynickiego zbiorze wierszy rozproszonych Zbigniewa Herberta (a5).

Z rzeczy bardziej rozrywkowych – Michał Witkowski i jego pastiszowy kryminał „Drwal” (Świat Książki), który mnie ucieszył, bo znać, że zdolny autor wrócił do formy. Podobnie było z książką ze słodkiej Francji. Michel Houellebecq nie zjawiał się w końcu na Festiwalu Conrada, ale jego „Mapa i terytorium” (w.a.b.) jest świadectwem i odrodzenia się, i chyba nowego etapu pisarstwa autora „Platformy”. Inny gniewny autor, nieżyjący już Thomas Bernhard został przypomniany aż kilkoma książkami z oślawioną „Wycinak” (przekład Moniki Muskały) i cudnymi „Moiimi nagrodami” (przekład Marka Kędzińskiego) z Czytelnika. Natomiast – niespodzianka! – najnowszy Thomas Pynchon („Wada ukryta”, Al-

batros) okazał się nadspodziewanie pogodny i przyjemnie było patrzeć, jak pisarz z wdziękiem i nie bez melancholii bawi się konwencją noir.

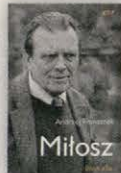
Dobre rady sobie też szacowne firmy amerykańskie: Philip Roth i Cormac McCarthy. „Wzburzenie” tego pierwszego (przełożyła Jolanta Kozak; Czytelnik) to śliczny przykład precyzyjnej i samoświadomej prozy, która samą siebie funduje i zarazem niweczy. Dwie zaś wczesne powieści McCarthy’ego „W ciemność” i „Suttree” (obie w przekładzie Macieja Świerkockiego) mam za najlepsze książki tego autora w całej jego niekrótkiej karierze.

Nie sposób też nie wspomnieć chociaż o powieściowych arcydziełach późnego Henry’ego Jamesa, które po raz pierwszy przełożono na polski. Gdyby po wydaniu „Złotej czary” i „Skrzydła gołębic” wydawnictwo Prószyński i S-ka dorzuciło do nich wznowienie „Ambasadorów” (jedynie bodaj polskie wydanie w 1960), najbardziej może poruszających z tej trójki, byłoby niewymownie wspaniale.

Michał Witkowski
„Drwal”,
Świat Książki



Andrzej Franaszek
„Miłosz”,
Znak



„Czesław Miłosz/ Jarosław Iwaszkiewicz. Portret podwójny”, oprac. Barbara Toruńczyk, Robert Papieski, Zeszyty Literackie



Miron Białoszewski,
1982 rok

FOT. CZESŁAW CZAPLIŃSKI/
FOTONOVA

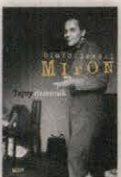
Białoszewski i pobożne życzenia

Przy okazji „Tajnego dziennika” upominamy się też o Leopolda Buczkowskiego

W tym roku będę czekać (z pewnością w oczekiwaniu tym nieosamotniony) przede wszystkim na „Dziennik” Mirona Białoszewskiego (Znak) – i może nawet go doczekam, bo pojawi się już w lutym. I można sądzić, że będzie najważniejszą książką nie jednego tylko roku, bo kilkaset stron (prawie) dotąd nieznaną prozą autora „Chamowa” to musi być potęgą, radością i wzruszeniem. A także, by tak rzec, memento dla dzisiejszej polskiej prozy (i towarzyszącej jej krytyki), która przeważnie odprawia swe mozolne harce w świetle dorocznych nagród i goni za nakładem, nie pamiętając, jak świetna była w przeszłości.

Ba, gdyby tak jeszcze ministerstwo kultury, tyłoma niezwykle ważnymi projektami zajęte, dołożyło do nich narodowe wydanie dzieł Leopolda Buczkowskiego (o którym pewnie mało kto z czytających te słowa słyszał, co nie jest dziwne, bo to jeden z najgenialniejszych polskich pisarzy), byłoby jeszcze potężniej i różniej. Pobożne życzenia? Zapewne. Więc na razie poczekam tylko na „Pornofoń”, nową powieść Jacka Bieruta, autora „Pit” i „Spojeń” – i wcale się nie zdziwię, jeśli znów zostanie gremialnie przeoczona. Bo bywa i tak, że być przeoczonym to powód do chwały, wart najlepszych, noworocznych życzeń. Do siego roku. MARCIN SENDECKI

Miron Białoszewski
„Tajny dziennik”
Znak



Kobiety, historia i ziny

Gdybyśmy mierzyli komiksowy rok liczbą nowości w księgarniach, 2011 wypadłby słabo. Ale fani nie samymi albumami żyją. Nie zabrakło ważnych wydarzeń, awantur i ciekawych gości na festiwalach

SEBASTIAN FRĄCKIEWICZ

W zeszłym roku po raz pierwszy od wielu lat o komiksie mówili wszyscy Polacy. Najczęściej bez sensu. A wszystko za sprawą albumu „Chopin New Romantic”. Rodzimi twórcy przez lata przykładali rękę do historycznych chałtur na kolejne rocznice i przyzwyczajali opinię publiczną, że celem twórczości komiksarza jest popularyzowanie historii oraz promocja: od dziejów miast po oszczędne

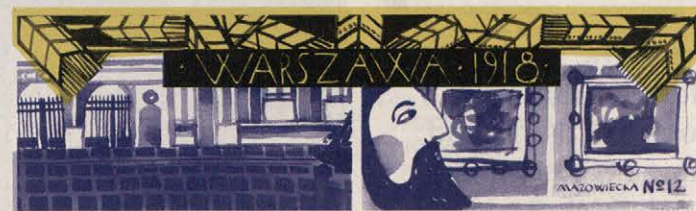
Top 3 komiksy zagraniczne:



1 Jason Lutes, „Berlin 2: Miasto dymu”, Kultura Gniewu
Obrazkowa epopeja o przedwojennych Niemczech jednego z najlepszych amerykańskich twórców niezależnych.

2 Howard Cruse, „Stuck Rubber Baby”, Centrala
Amerykańska prowincja lat 60. Walka o prawa mniejszości. Wzorowy przykład powieści graficznej.

3 Carlos Sampayo (scen.), José Muñoz, „Carlos Gardel”, Egmont
Najbardziej niedoceniony komiks 2011 roku. Zabawa konwencją biografii z doskonałą szatą graficzną, opartą na silnych kontrastach.



używanie wody. Za złamanie tego schematu dostali po głowie.

Afera z Chopinem pokazała, że komiksarze powinni założyć fundację, która organizowałaby specjalne szkolenia dla polityków, dziennikarzy i ludzi kultury tłumaczące, czym współczesny komiks w ogóle jest. Na szczęście w 2011 roku wydało sporo prac historycznych, które były po prostu świetnymi dziełami, a nie kolejnymi produkcjami. Pojawiła się między innymi druga część „Berlina” Jasona Lutesa, „Stuck Rubber Baby” Howarda Cruse’a, a także doskonała antologia „Złote Pszczoły” poświęcona tematyce żydowskiej, zaniedbanej przez polski komiks.

Rzecz stworzona przez scenarzystkę Monikę Powalisz oraz rysowniczkę: Malwinę Konopacką, Agatę Nowicką, Olę Wróbel, Annę Czarnotą, Zofię Dzierżawską i Joannę Jurczak wprowadza powiew artystycznej świeżości do wciąż hermetycznego środowiska twórców opowieści obrazkowych. Co ciekawe, hasło „dziewczyny też rysują komiksy” jeszcze do niedawna nie przekładało się na naprawdę dobre albumy i nagrody w konkursach. Teraz to się zmieniło. Ostatnie Grand Prix łódzkiego festiwalu wywalczyła sobie Berenika Kołomycka, a tegoroczny konkurs organizowany przez Muzeum Powstania Warszawskiego wygrała Maria Rostocka.

Miniony rok wydawcy postanowili trochę przeczekać. Kryzys dotknął wszystkich, ale chyba najbardziej zwolnił największy gracz – czyli Egmont. Nie wprowadził nowych serii ani nowych europejskich nazwisk. Skupił się na komiksie komercyjnym. Taka polityka wydawców sprawiła, że jesteśmy trochę do tyłu z bardzo ciekawymi autorami z Zachodu. Brakuje u nas tłumaczeń chociażby Bastiena Vivésa czy Brechta Evensa. Za to w Polsce znajdziemy przynajmniej dwóch młodych grafików, którzy mogliby zaistnieć za granicą: to 20-letni Marcin Podolec oraz Zofia Dzierżawska, która dopiero zadebiutowała jako artystka komiksowa we wspomnianej antologii „Złote Pszczoły”.

Top 3 komiksy polskie:

1 Monika Powalisz (scen.), Malwina Konopacka, Agata Nowicka, Olga Wróbel, Anna Czarnota, Zofia Dzierżawska, i Joanna Jurczak (rys.), „Złote Pszczoły”, Gmina Wyznaniowa Żydowska w Warszawie
Ogromna niespodzianka. Polski komiks historyczny z ciekawymi opowieściami, awangardowym rysunkiem.

2 Marcin Podolec (rysunki), Grzegorz Janusz (scen.), „Czasem”, Kultura Gniewu
Przepis na świetny komiks? Młody, utalentowany rysownik plus doświadczony i również utalentowany scenarzysta średniego pokolenia.

3 „Likwidator 11. Prawda smoleńska. Biały komiks (suplement do białej księgi)”, Zielony Front
Alternatywna i obrazoburczą opowieść o katastrofie smoleńskiej. „Chopin New Romantic” to przy tym grzeczna powiastka.

W ubiegłym roku w wielu polskich miastach odbyły się mniejsze lub większe spotkania i warsztaty. Nie mogli narzekać także bywalcy festiwalu. Na poznańską Ligaturę przyjechał Aleksander Zograf, na festiwalach w Gdańsku i Łodzi pojawili się Rong Rong Luo, Simon Bisley, Eduardo Riso. W odpowiedzi na wyciszenie głównego nurtu obudził się underground.

Dawno nie pamiętam takiego wysypu drapieżnych fanzynów. I chyba dla przeciwwagi do chopinowskiej zadymy mieliśmy w końcu ważną wystawę komiksu, animacji i rysunku „Black and White” w warszawskim Muzeum Sztuki Nowoczesnej. Paradoksalnie bardziej zainteresowane były nią media artystyczne niż komiksowe. To był ciekawy rok.

Mam marzenia

Marzą mi się w przyszłym roku komiksowe żniwa. Realizm obrazkowego świata ściąga mnie jednak bezlitośnie na ziemię. Ograniczam się do trzech fanaberii. W 2012 czekam na:

1 odpowiednik komiksowej nagrody w Konkursie imienia Eugeniusza Gepperta. A to dlatego że Grand Prix dla malarzy ufundowane przez Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego w konkursie Gepperta wynosi 30 tysięcy złotych. Natomiast nagrody komiksowe w konkursach – maksymalnie kilka tysięcy. Komiks to medium w polskich warunkach zupełnie niekomercyjne, a do tego pracochłonne. Nad dobrym, długim albumem spędza się rok, zakładając, że twórcę stać na porzuceniu innych zajęć. Jeśli chcemy, by w Polsce powstawały świetne prace, którymi potem chwalimy się na świecie, taka nagroda wydaje się wręcz niezbędna.

Zapowiadane od dłuższego czasu tłumaczenie „Safe Area Goražde”. Joe Sacco to klasyk reportażu komiksowego, który bywa oskarżany o brak dystansu i zbyt zaangażowanie emocjonalne. Ale nic to, bo i tak najlepiej łączy dziennikarstwo i obrazkowe medium. W Polsce reportaż komiksowy po cichu się rozwija. Najpierw była seria „w-wa” w „Gazecie Stołecznej” i obrazkowe wywiady w „Dużym Formacie” zespołu: Truściński, Kłós, Kwaśniewski, potem projekt „Gazety Wyborczej Katowice”. Pracujący przy tym ostatnim Maciej Pałka teraz do spółki z Dominikiem Szczeniakiem tworzą komiks dokumentalny o Lublinie. Dlatego warto znać dobry wzór, którym jest Sacco.

Dwa polskie albumy: „Once upon a Tyne” Agaty Wawryniuk oraz „365 dni” Dennisa Wojdy. Pierwszy z nich opowiada o emigracji zarobkowej w Wielkiej Brytanii, drugi to rodzinna, rozbudowana opowieść z Warszawą i historią w tle. Obydwa narysowane oryginalnie, nowoczesnie i ze smakiem. Fani Supermana i Żbika będą je omiłać szerokim łukiem, inni na pewno docenią.

SEBASTIAN FRĄCKIEWICZ

Atak frontalny

Biły rekordy sprzedaży i zysków. Brały szturmem niedostępne dotąd salony elit, ale i zdobywały wielką popularność wśród mas. Atakowały z telefonów i tabletów. Dla gier wideo był to rok wielkiej ekspansji, ale i zwiastowania zmian, które nadejdą jutro

OLAF SZEWCZYK

Co było najbardziej *en vogue* w mijającym roku? Nie musimy gdybać, prawdę powie nam Internet. Według zaprezentowanego przez Google podsumowania Zeitgeist 2011, drugim najszybciej skutującym w Polsce na popularności hasłem wpisywanym w wyszukiwarce tej firmy był „Minecraft” – gra komputerowa stworzona przez niezależnego projektanta ze Szwecji Markusa Perssona. „Minecraft” przegrał tylko z Kwejkem (serwis satyryczny), wygrał natomiast, niczym Dawid z Goliatem, nawet z Facebookiem, nawet z Facebookej. Sukces to tym bardziej szokujący, że Facebook ma za sobą gigantyczną machinę promocyjną, a „Minecraft” może liczyć głównie na marketing szeptany. O tym portalu społecznościowym media głównego nurtu trąbią na okrągło przy byle okazji, podczas gdy gry wideo – w tym „Minecraft” – są przez nie wciąż traktowane lekceważąco, jako podrzędna nisza popkultury. No dobrze, pozwólcmy sobie na nieśkromność: z wyjątkami, do których „Przekrój” dumnie się zalicza. To my umieściliśmy w maju na okładce Geralta z Rivii, bohatera gry

„Wiedźmin 2”, znanego z opowiadań i powieści Andrzeja Sapkowskiego. Obwołany przez nas najsukuczniejszym ambasadorem polskiej kultury, został chwilę później przedstawiony z honorami przez Donalda Tuska Barackowi Obamie: prezydent USA otrzymał podczas wizyty w Polsce edycję kolekcjonerską „Wiedźmina 2”. To wydarzenie bez precedensu – gry wideo nigdy wcześniej nie doczekały się w Polsce takiej nobilitacji jako dziedzina kultury. „Wiedźmin 2” był jednym z najważniejszych wydarzeń roku nie tylko z polskiej perspektywy. Wielu światowych recenzentów ogłosiło grę studia CD Projekt RED kolejnym etapem w ewolucji gatunku RPG. To był generalnie znakomity sezon dla gier fabularnych. Oprócz „Wiedźmina 2”, który punktował kreacją postaci, opowieścią, reżyserią i obrazem, imponowały stworzone przez From Software, na przekór trendom, bardzo wymagające „Dark Souls”. Powrót do tradycji rzucania odbiorców na głęboką wodę, by samodzielnie stawiali czoło wyśrubowanemu, na pozór niemożliwym do sprostania wyzwaniu,



Konsola Nintendo 3DS jako pierwsza wyświetliła trójwymiarowy obraz widoczny nieuzbrojonym okiem

był gambitem. Sukces „Dark Souls” daje nadzieję na renesans gier, których rozgrywanie kosztuje krew, pot i łzy, ale daje w zamian olbrzymią satysfakcję. Trzecia w mijającym roku perła w konwencji role-playing game, „The Elder Scrolls V: Skyrim” Bethesda, to bodaj najlepiej zrealizowana w historii gra fabularna z wielkim, otwartym na eksplorację światem. Na uznanie zasługuje polskie wydanie. W ramach precedensowego, kosztującego niemal milion złotych projektu lokalizacyjnego prowadzonego na zlecenie Ceneji przez Pawła Ziąjkę przetłumaczono 1,2 miliona słów (4800 stron tekstu) i nagrano niemal 70 godzin kwestii mówionych. Swoich głosów użyły około stu aktorów, między innymi Piotr Fronczewski, Krzysztof Kowalewski, Wiktor Zborowski i Henryk Talar. To olbrzymia inwestycja, ale na pewno się zwróci. Nie tylko dzięki większej sprzedaży „Skyrima”. Nadchodzą czasy cyfrowej dystrybucji gier, w których krajowy wydawca będzie zbędny, jeśli nie zapewni tytułowi unikalnego atutu – czyli lokalnej wersji językowej. Ceneja mądrze inwestuje w przyszłość.

W tym roku ukazało się wyjątkowo dużo udanych gier. Dla nas szczególnie ważne jest to, że rekordowo

Precedensowa nobilitacja: premier Tusk sprezentował „Wiedźmina 2” – grę uznaną przez nas za wydarzenie w kulturze – prezydentowi Obamie

wielu polskich twórców odniosło globalne sukcesy. Oprócz CD Projektu RED gościł na światowych listach przebojów Techland za sprawą survival horroru „Dead Island” (najnowsza odsłona „Call of Juarez”: „CoJ: the Cartel”, miała mniejsze wzięcie). Stworzona z myślą głównie o urzędnika przenośnych oryginalna gra strategiczna „Anomaly: Warzone Earth” (11 bit studios) okazała się jedną z najwyższej ocenianych perełek w swoim gatunku. Z uznaniem, choć chyba nie na miarę oczekiwania, przyjęto grę akcji „Bulletstorm” (People Can Fly).

Na przyzwoitą sprzedaż i oceny zasłużyła gra RPG „Two Worlds 2” (Reality Pump). Świetnie radzą sobie twórcy gier przeglądarkowych („Pirate’s Saga” od Can’t Stop Games) oraz drobiazgów na smartfony i tablety z systemem operacyjnym Apple’a lub z Androidem.

Największe pieniądze wciąż zarabia się na platformach stacjonarnych: komputerach PC, konsolach PlayStation 3, Xbox 360 i Wii. Wojenna gra akcji „Call of Duty: Modern Warfare 3” studia Infinity Ward przyniosła pierwszy miliard dolarów zysku po zaledwie 16 dniach od premiery, co jest w show-biznesie rekordem wszech czasów. To jednak urządzenia przenośne najbardziej zyskiwały na znaczeniu jako podręczne centra rozrywki. Pierwsze na rynku urządzenie oferujące trójwymiarowe gry bez wymogu korzystania ze specjalnych okularów, kieszonkowa konsola Nintendo 3DS, co prawda nie zrobiło spodziewanej furory, ale smartfony i tablety coraz częściej służą nam właśnie do grania, wciągając w nowe hobby miliony osób. Gry wyrastają na główną rozrywkę masową XXI wieku. Ten trend będzie nabierał na znaczeniu w roku 2012.

Najważniejsze gry roku 2011:

- 1 „Wiedźmin 2: Zabójcy królów”
- 2 „Dark Souls”
- 3 „The Elder Scrolls V: Skyrim”
- 4 „Minecraft”
- 5 „Deus Ex: Human Revolution”



Stworzona na przekór trendom, arcytrudna „Dark Souls” daje nadzieję na renesans starej szkoły tworzenia gier – tak, chcemy więcej takich wyzwań



Przeciąg

Jeśli wierzyć festiwalowym werdyktom i recenzjom, miniony rok należał do Moniki Strzępki i Pawła Demirskiego. To jednak trochę bardziej skomplikowane

JACEK WAKAR

Artystyczny (pani reżyser, pan dramaturg) i życiowy duet, przez niektórych nazywany Strzęp-Demem, zgarnia całą pulę. Kolejne przedstawienia wygrywane festiwalami, przed premierą ogłaszane zostają wydarzeniami o większej niż teatralna skala. To oni byli głównymi beneficjentami zorganizowanego obok Warszawskich Spotkań Teatralnych Wałbrzych Festiwalu dokonań najmodniejszej dziś polskiej sceny. To oni wygrali krakowską Boską Komedię „Tęczową trybuną 2012” i pokazali na niej swój najnowszy spektakl „W imię Jakuba S.”. Wzięli też Paszporty Polityki – jakby polski teatr miał dziś twarz jedynie Moniki Strzępki i Pawła Demirskiego.

Fani z radością zgodzą się z tą opinią, sceptycy poskrobia głębiej. Teatr Strzęp-Demu powiela przecież te same koncepcje i wzorce, stając się scenicznym odbiciem przedwzrostających gazet. Bywa dowcipny, ale częściej publicystyczny. Być może Strzępce nie da się odmówić umiejętności budowania mocnych energetycznych sekwencji, ale wszystko przytłacza wielostawie Demirskiego. Tak było w „Tęczowej trybunie 2012” z wrocławskiego Teatru Polskiego o kibicach-gębach, którzy dopominają się o równe traktowanie (z wysmianym Warlikowskim i Hanną Gronkiewicz-Waltz w tle) oraz w ostatniej premierze z Teatru Dramatycznego w Warszawie. Propozycje duetu wciąż drążą te same koleiny, zatem w efekcie nużą. Wciąż jestem

obok ich teatru, ale widzę, że trochę się jednak zmieniają. W warszawskim przedstawieniu zwyczajowego u Strzępki i Demirskiego kabaretu jest odrobinę mniej, nieco więcej polskiego mitu. Tyle że sukces duetu jest ciągle skutkiem mody na Strzęp-Dem. I kryzysu w teatrze. Dwa, trzy sezony temu, gdy mówiliśmy, że panuje w nim klęska urodzaju, ich spektakle utonąłyby w morzu istotniejszych. A tak – Strzępka z Demirskim wygodnie czują się w rolach pierwszych buntowników.

Nie znaczy to, że brakuje w nim dobrych przedstawień. Te są, w ostatnim roku naliczyłem ich całkiem sporo. Gorzej z wydarzeniami, które przetrwałyby w pamięci dłużej. Są „Bracia Karamazow” Janusza Opryńskiego z lubelskiego Provisorium, pierwsza od czasu widowiska Krystiana Lupy sprzed lat 20 tak gorąca interpretacja arcydzieła Dostojewskiego z wielkimi rolami Adama Woronowicza, Łukasza Lewandowskiego czy Karoliny Dafne Porcari. Wywiadzona z myśli Cezarego Wodźńskiego inscenizacja to pierwszy z dowodów, że najważniejsze rzeczy dzieją się dziś na przecięciu – teatru instytucjonalnego i alternatywy na przykład. Podobnie ze „Staruchą” według Charmsa: zrobił ją Igor Gorzkowski, szef Studia Koło w warszawskim Teatrze Ochoły, zagrali między innymi Andrzej Mastalerz, Adam Ferency, Wiktoria Gorodeckaja – każdy z innego świata. Efekt był piorunujący.

Jest „General” Jakubowskiego z warszawskiej IMKA, pierwsza próba zmierzenia się na scenie z tym generałem. Jednak spektakl Aleksandry Popławskiej i Marka Kality z wielką rolą tego ostatniego nie wystawia świadectw, nie broni ani nie oskarża. Proponuje coś więcej – lynchowską w klimacie fantasmagorii z Jaruzelskim w roli głównej. Fascynująca. Jeszcze „Słowo” Kaja Munka w reżyserii Mariusza Grzegorzka z łódzkiego Teatru Jaracza – poruszająca i utrzymana w tonie absolutnie serio rozprawa o tym, czy Bóg jest i czy jest miłością. Grzegorzek potwierdza tym przedstawieniem, że jest jednym z nielicznych w polskim teatrze autorów pełną gębą, a łódzki zespół – że trzyma się mocno. I że nawet w ramach tak zwanej instytucji można pracować, łamiąc bezpieczne reguły.

Odnoszę wrażenie, że jesteśmy w momencie przejściowym, stoimy w przeciągu w otwartych drzwiach. Niedawni buntownicy zmieniają styl, jak choćby Jan Klata w „Utworze o matce i ojczyźnie” (Teatr Polski, Wrocław), a także ironicznych „Koprofagach” (Narodowy Stary Teatr, Kraków). Albo Michał Zadara, który z powodzeniem spróbował konwencji *grand theatre* w „Wielkim Gatsbym” (Teatr Polski, Bydgoszcz), przykładając jednocześnie krzywe zwierciadło do wszechwładnego dzisiejszego dyktatu kapitalistycznego sukcesu. Czasem poszukiwania prowadzą ich do odkrywania na nowo zapomnianej niesłusznie literatury. Tak było z „Lenzem” Büchnera w inscenizacji Barbary Wysockiej w warszawskim Narodowym, zatopionym w śniegu, oderwanym od świata.

Wbrew opowieściom o tym, że diesiejszy teatr żywi się wściekłością społeczeństwa, wszystkie te przedstawienia zgłębiają współczesną melancholię. Właśnie z niej swego „Nosferatu” zbudował Grzegorz Jarzyna, a „Opowieści afrykańskie według Szekspira” Krzysztof Warlikowski. Kłopot, że w obu przypadkach metafizykę zastąpiła atropa metafizyki. Nawet atropy nie były zaś w „Poczekalni” Krystiana Lupy. Wrocławskie przedstawienie miało pokazać społeczeństwo w stanie kompletnego zagubienia. Kompletnie zgubił się sam reżyser.

Na kogo warto zatem stawiać, skoro nawet „Sprawa” Jerzego Jarockiego, przy swej klasie, nie dorównała jego najważniejszemu osiągnięciu? A choćby na Agnieszkę Głińską, która pracuje dużo, ale się nie myli. Zrobiła przeżabawną „Amazonię” Walczaka, poetyckie „Iluzje” Wyrupajewa, gorzką i współczesną „Moralność pani Dulskiej”. Nie potrzebuje nośnych hasła ani etykietek. To jej czas.

To czas Mai

Coś mi się zdaje, że ten rok upłynie pod znakiem Mai Kleczewskiej

Na dwoje babka wróżyła – najważniejsza dziś nasza reżyserka albo odniesie wielki sukces, albo poniesie druzgocącą porażkę. Musi tak być, skoro w Bydgoszczy pokaże „Burzę” Szekspira, a w Teatrze Narodowym w Warszawie „Oresteję” Ajschylosa. Trudno o mocniejsze teksty.

Ponadto wiadomo niewiele. Trzymam kciuki za warszawskie Ateneum pod nową dyrekcją Andrzeja Domalika (w styczniu zobaczymy tam Szekspirowski „Sen nocy letniej”) i Powszechny pod sterami Roberta Glińskiego (w marcu nową sztukę Artura Pałygi pokaże tam Piotr Cieplak). A także za poznański Nowy pod kierownictwem Piotra Kruszczyńskiego (pierwsze spektakle przygotowują tam Lena Frankiewicz i Ana Nowicka). Pod koniec sezonu we wrocławskim Teatrze Polskim będziemy mieli „Courtney Love” Moniki Strzępki i Pawła Demirskiego.

Reszta jest tajemnicą, ale tym bardziej warto czekać. JACEK WAKAR

Najlepsze spektakle 2011:

- 1 „Bracia Karamazow”, reż. Janusz Opryński, Teatr Provisorium, Lublin
- 2 „Słowo”, reż. Mariusz Grzegorzek, Teatr im. Stefana Jaracza, Łódź
- 3 „General”, reż. Aleksandra Popławska, Marek Kalita, Teatr IMKA, Warszawa
- 4 „Pan Tadeusz”, reż. Mikołaj Grabowski, Narodowy Stary Teatr Kraków
- 5 „Starucha”, reż. Igor Gorzkowski, Teatr Ochoły, Warszawa

Papa paparazzi

Kiedy reporter **WEEGEE** zmęczył się fotografowaniem trupów na Manhattanie, wyjechał pstrykać zdjęcia gwiazdom w Hollywood. Szybko stwierdził, że to prawdziwy „Zombieland”

ANNA JASTRZĘBSKA

Hollywood, około 1950 roku. Młodziutka aktorka Marilyn Monroe uśmiecha się zalotnie do tłumu fotoreporterów. Błyskają flesze, w powietrzu czuć ekscytację i drogie perfumy. Biała, plisowana sukienka przyszłej gwiazdy, unosząc się niczym spadochron, odsłania jej zgrabne nogi. Trudno uwierzyć, że zdjęcie to wykonał Arthur Fellig, jeden z najważniejszych amerykańskich fotoreporterów XX wieku; ten sam „sławny Weegee”, „oficjalny portrecista śmierci”, autor czarno-białych zdjęć z mrocznego Nowego Jorku końca lat 30., na których trup ściele się gęsto.

Nocny łowca

O jego fotografie były się najgłośniejsze tytuły: „Herald Tribune”, „Daily News”, „Daily Mirror”, „The Sun”. Pracując jako wolny strzelec, zawsze miał najświeższe „mięso” dla tabloidów: zdjęcia z aresztowań, zbrodni, pożarów. Zwykle docierał pierwszy na miejsca wypadków, jeszcze przed służbami mundurowymi, w związku z czym posądzany był o zdolności paranormalne. Zresztą jego pseudonim wziął się od sposobu wymawiania nazwy tablicy Ouija - gadzetu niezbędnego podczas sesji spirytystycznych. Wspomniane moce w rzeczywistości sprowadzały się do tego, że fotograf otrzymał pozwolenie na instalację radia policyjnego w swoim samochodzie.

W bagażniku tego auta miał natomiast ciemnię, w której wywoływał zrobione zdjęcia!

Pracę rozpoczynał wraz z wybiciem godziny duchów. „Między północą a pierwszą słuchałem telefonów informujących policję o podglądaczach na dachach i schodach pożarowych akademików dla pielęgniarek. Między pierwszą a drugą - napady z bronią w rękę na całodobowe delikatesy. Między drugą a trzecią - wypadki samochodowe i pożary” - opowiadał. Z dziwną przyjemnością penetrował ciemne uliczki dusznego, gęsto zaludnionego Nowego Jorku, którym po latach wielkiego kryzysu i bezrobocia stał się przystanią bankrutów, frustratów, emigrantów. Fellig nie należał do tej grupy, mimo że sam był dzieckiem imigrantów - miał 10 lat, gdy w 1909 roku przyjechał z rodzicami do Stanów ze Złoczowa w dawnej Galicji (jego rodzina uciekła przed prześladowaniami ze strony antysemitów).

Przemierzał ulice Manhattanu uzbrojony w wielki aparat Speed Graphic i cynizm - z czasem stały się one jego znakami rozpoznawczymi. „Krążę wokół sceny tak długo, aż znajdę odpowiedni kąt, z którego można oglądać zdjęcia ciał ofiar bez uczucia dyskomfortu” - mawiał. Ten sposób ujmowania tematu, pokazywania tragedii w chwytliwy sposób, przyniósł mu popularność. Jej szczytowy moment przypadł na rok 1945. Wtedy to opublikowana została książka „Naked City”, →

FOT. WEEGEE/INTERNATIONAL CENTER OF PHOTOGRAPHY/GETTY IMAGES/MATERIAŁY PRASOWE MOCA



Konkurs na najbardziej utalentowane zwierzę występujące w filmie. Weegee nie gardził takimi imprezami. W 1951 roku zwycięzcą został Francis, główny bohater filmu „Francis the Talking Mule”

Kalifornia oznaczała dla Weegee'ego nie tylko słońce, lecz także zlecenia reklamowe



w której znalazły się najsłynniejsze tabloido-we zdjęcia Felliga z Nowego Jorku końca lat 30. Zaraz potem, z etykietką niedoścignionego fotoreportera, prawie 50-letni Weegee postanowił się z miasta wyprowadzić.

Gwiazdy po deformacji

Z Wielkiego Jabłka przeniósł się do Miasta Aniołów. – Wreszcie mogłem fotografować to, co lubię – tłumaczył motywację wyjazdu do Los Angeles. – Wyjechał, bo chciał zostać gwiazdą – nie ma wątpliwości Richard Meyer, kurator poświęconej Weegee'emu wystawy „Naked Hollywood”, trwającej właśnie w Muzeum of Contemporary Art w Los Angeles. To w Hollywood, w komercyjnej galerii, odbyła się w 1949 roku pierwsza wystawa jego prac. W tym samym czasie sprzedał prawa do sfilmowania swojej książki, a także zrealizował pierwszy krótki film „Weegee's New York”.

Prócz sławy i pieniędzy do Kalifornii ciągnęły go również... gwiazdy z pieniędzmi. Jako wzięty, doświadczony fotoreporter wiedział bowiem doskonale, że nie tylko „tam jest dobry lead, gdzie jest krew”, ale również, że to „nazwisko czyni newsa”. Na jego zdjęciach z Los Angeles, zamiast wypadków, pożarów, przestępstw, widzimy więc: piękno, blichtr i cekiny. Weegee zjawiał się na najważniejszych premierach, nie opuszczał konkursów piękności – był tam, gdzie gwiazdy. Ale nie produkował obrazków *glamour*. Bywał złośliwy, celebrytów fotografował w nieoczywistych pozach, na przykład... gdy objadali się na bankietach (słynne zdjęcie Liz Taylor wykonane prawdopodobnie w 1950 roku).



Wobec gwiazd bywał złośliwy, czego doświadczyła między innymi Marilyn Monroe

W tym czasie zaczął manipulować zdjęciami, zniekształcać i deformować obrazy. Na jednej z jego najpopularniejszych fotografii platynowa blondynka, już wtedy doskonale znana Marilyn Monroe, zamiast nosa ma... świński ryjek! Fellig wykonał serię takich portretów sław – Liz Taylor ma tu niebotycznie długie rzęsy i głupkowatą minę, twarz Audrey Hepburn ulega dziwnemu wykrzywieniu, a Jackie Kennedy oczy ma wielkie jak w japońskiej mandze. Lech Lechowicz, kurator pierwszej w Polsce wystawy Weegee'ego w 1996 roku: – Jego zdjęcia hollywoodzkie trzeba traktować jako kompletnie inny niż nowojorski etap twórczości. Na obrazach z Manhattanu widzimy efekt pracy reportera. Na fotografiach z LA wyraźnie ujawniają się jego aspiracje artystyczne, których wcześniej nie wykazywał.

Rzeczywiście, od końca lat 40. nie przestawał kombinować z soczewkami, pryzmatami, lustrami, wielokrotną ekspozycją. Rezultaty swojej pracy nazywał fotografią kreatywną. – Te eksperymenty są jednak mało ciekawe artystycznie na tle tego, co się wcześniej i później w fotografii działo – surowo ocenia Lechowicz. Zupełnie inaczej patrzy na te dokonania Richard Meyer, który w portretach gwiazd Felliga widzi zapowiedź Warhola i innych postmodernistów. – Fascynując się celebrytami, Weegee dostrzegał groteskowe aspekty kultury, która ich stworzyła – tłumaczy krytyk.

Uwaga jest tym trafniejsza, że Fellig robił zdjęcia nie tylko rozdającym autografy, lecz także tym, którzy za nimi gonili (zrealizował nawet minicykl czterech obrazków: „Amerykańska tragedia: brak autografu”). Wydaje się,



Jak „robi się” gwiazdy – to jeden z tematów Weegee'ego w Hollywood



Żywiłem Weegee'ego były kuliszy i zaskoczenie. Pomalowana na złoto striptizerka przed występem. 1950 rok

W Nowym Jorku był kronikarzem nocy, w Los Angeles próbował zostać artystą. Kolaż „City Hall”, 1953–55

że chciał nie tyle sportretować sławne osoby, ile pokazać mechanizmy sławy. Miał na to prosty sposób: kiedy fotoreporterzy kierowali swe flesze na gwiazdę, on nagle odwracał się i swym obiektywem celował w panów z aparatami.

Komentarz w dymku

Przez długi czas krytycy traktowali hollywoodzki etap twórczości reportera jako nieporozumienie, którym nie warto się zajmować. Jednak pospieszność, niechlujność jego zdjęć to pozory.

Karol Hordziej, dyrektor artystyczny Miesiąca Fotografii w Krakowie, w ramach którego dwa lata temu można było oglądać wystawę Felliga, twierdzi: – Sposób, w jaki Weegee fotografował celebrytów, nie różni się znacznie

od tego, jak przedstawiał osoby z nizin społecznych, a nawet zwłoki leżące na chodniku.

No właśnie, poza „bywaniem” Weegee fotografował po prostu rzeczywistość, która go otaczała. Na zdjęciach z LA są więc palmy, witryny sklepów „z ekstra dużymi majtkami” i lokale ze striptizem. Spróbujmy więc popatrzeć na wszystkie te kalifornijskie obrazy dokładnie tak, jak patrzymy na dokonania z Nowego Jorku. – Dowcipnie wykorzystywał elementy pojawiające się przypadkowo wokół fotografowanej sceny. Weźmy zdjęcie pożaru z 1950 roku. Na gaszonej przez straż pożarną kamienicy wisi reklama zupy instant „Simply Add Boiling Water” („Po prostu dodaj wrzącą wodę”). Podobny zabieg zastosował w przypadku zdjęcia, które można wpisać do kategorii zdjęć celebrytów. Na fotografii z 1943 zatytułowanej „Recenzentka” portretowana dama znajduje się w lewym dolnym rogu całego kadru. Zwykły paparazzi zawęziłby kadr tylko do tej postaci. Weegee natomiast w pozornie źle skadrowanym zdjęciu umieścił również dodatkową postać, z niższej klasy społecznej, wpatrzoną z zaciętym wyrazem twarzy w damę w białym płaszczu. Ktoś przyszedł, żeby oceniać, a ostatecznie sam jest poddany ocenie! – zwraca uwagę Hordziej.



Fot. Weegee/International Center of Photography/Getty Images/Materiały prasowe MOCA (5)

Właśnie to odróżnia prace Felliga od działalności współczesnych paparazzich, których ojcem – trochę na wyrost i chyba krzywdząco – został ochrzczony.

Nie bez powodu bohaterem wielu obrazów jest on sam. Zwykle występuje jednak w doborowym towarzystwie manekinów. Widzimy go z nieodłącznym cygarem ustach i szelmowskim uśmiechem na twarzy: w witrynach sklepowych, pomiędzy maskami w sklepie z kostiumami, prowadzącego samochód z manekinami... Właśnie te manekiny, nagie, uśmiechnięte, pozbawione duszy, zatem nieśmiertelne, stają się najlepszym komentarzem kalifornijskiego epizodu kariery „fotografa śmierci”. W Nowym Jorku robił zdjęcia truposom, ale to Hollywood nazwał prawdziwą „krainą zombie”. Spędził tam cztery lata, po czym... wyruszył na podbój Europy. Ale to już zupełnie inna historia. Kompletnie różna od tych „ośmiu milionów historii, którymi żyje Nagie Miasto” i którymi ożył film zrealizowany na podstawie mrocznych zdjęć Weegee'ego.

„Naked Hollywood: Weegee in Los Angeles”, The Museum of Contemporary Art, Los Angeles, do 27 lutego



TEATR

Pomniki trzymają się mocno

Jan Klata z poematu „Utwór o matce i ojczyźnie” zrobił niepokojący musical



JACEK WAKAR

Krakowska Boska Komedia zdetronizowała Warszawskie Spotkania Teatralne. Nie tylko pokazuje przedstawienia, ale również je tworzy

fot. Grzegorz Ziemiński/www.fotohuba.pl/materiały prasowe Festiwalu Boska Komedia

Porównanie jest jak najbardziej na miejscu. Do ubiegłorocznej edycji krakowski festiwal tym się różnił od warszawskiego, że spektakle oceniało międzynarodowe jury, tworząc w ten sposób własną hierarchię. Werdykty jurorów bywały czasem dość zaskakujące, jakby kierowali się trudnymi do pojęcia kryteriami. Rok temu wielkie „Tango” Jerzego Jarockiego z Teatru Narodowego w Warszawie przegrało z „Był sobie Andrzej, Andrzej, Andrzej i Andrzej” Moniki Strzępki z Wałbrzycha, najlepszym zaś aktorem wybrano Andrzeja Szeremetę, honorując jego bezbarwny występ w katastrofalnym spektaklu Krystiana Lupy „Persona. Ciało Simone”.

The best of?

Do Krakowa zjeżdża też co roku liczna grupa selekcjonerów z zagranicznych festiwali. Szef Boskiej

Komedii, Bartosz Szydłowski, utrzymuje więc, że staje się ona czymś na kształt międzynarodowych targów i dzięki nim wielu artystów ma szansę pokazać swoje dzieła przed publicznością całkiem inną niż rodzima. Poza tym wszystko było dotąd jak na wst. Kraków miał konkurencyjny wobec warszawskiego przegląd „the best of polski teatr w minionym sezonie”. Siłą rzeczy więc powtarzały się niektóre tytuły.

Tegoroczna edycja przyniosła przełom. Nie dlatego, że pokazała jakieś specjalnie odkrywcze spojrzenie na polski teatr. Przeciwnie, była raczej repetycją z tego, co nosiło się w ostatnich miesiącach. Byli zatem między innymi Jan Klata (poruszający „Utwór o matce i ojczyźnie”), Krzysztof Garbaczewski (pretensjonalne i bektolliwe „Życie seksualne dzikich”), wspaniali „Bracia Karamazow” Janusza Opryńskiego

(nagrodzeni za wspaniałą rolę Łukasza Lewandowskiego), rozdęty pychą „Klub Polski” Pawła Miśkiewicza oraz niestety pominięty „Ojciec” Agaty Dudy-Grac. A wygrali, zgodnie z niepisaną regułą, Monika Strzępka i Paweł Demirski „Tęczową trybunę 2012” z wrocławskiego Teatru Polskiego. *Nihil novi*, choć byli tacy, co przed imprezą spodziewali się triumfu „Życia seksualnego dzikich”. Tak czy inaczej eksperci z Grecji, Niemiec, Korei Południowej i Japonii nie zmienili układu sił w polskim teatrze. Nie udało im się też zatrzeć wrażenia, że festiwale częstokroć wygrywają dzieła nie wybitne, a modne, gładko wpisujące się w obowiązujący nurt.

Boska Komedia wygrywa zatem z wst nie wyborem przedstawień do konkursu, ale zorganizowanym po raz pierwszy cyklem „Purgatorio: pomniki polskie”. Jak wiele liczących

się festiwali postanowiła bowiem nie tylko teatr pokazywać, ale i go współtworzyć.

Oczami kobiet

Na pomniki polskie złożyło się sześć spektakli koprodukowanych przez festiwal, trzy z nich (oraz jedno „czytanie sceniczne”) prezentowano podczas tegorocznej edycji premierowo. Inne też zresztą były całkiem świeże.

Taka na przykład „Aleksandra. Rzecz o Piłsudskim” z wałbrzyskiego Teatru Dramatycznego. Tekst napisała Sylwia Chutnik, reżyserował Marcin Liber. Miniatura raczej niż widowisko, do ocalenia pozostaje niewątpliwie rozpisany na trzy kobiece głosy monolog tytułowej bohaterki, zderzony dodatkowo przez autorkę ze schematem rodem z „Trędowatej” Mniszkówny. Mamy więc

drugą żonę Naczelnika rozbitą na trzy postaci – Aleksandry Rewolucji, Aleksandry Zdradzonej i Aleksandry Matki. Mówią to, na co wskazują ich przydomki. Najciekawiej wypada fragment rewolucyjny w świetnej interpretacji rudowłosej, kruchej i silnej jednocześnie Rozalii Mierzickiej – jest w nim powinność walki i niezgoda na wojnę. Jest też typowo kobiece spojrzenie, siła pisarstwa Chutnik. Wałbrzyskie przedstawienie pokazuje pomnik Piłsudskiego z całkiem nieoczekiwanej strony, patrzy na niego okiem współczesnej dziewczyny. Jest w nim nieoczekiwana subtelność, choć pewnie trzeba się zgodzić, że Chutnik i Liber niczego wielkiego nie odkrywają. Nie mieli chyba na szczęście takich ambicji.

Trudno mówić o ambicjach (choć zapewne były, i to wygórowane) w kontekście przedstawienia o adekwatnym do jakości tytule „Jak nie teraz to kiedy, jak nie my to kto?” w reżyserii Małgorzaty Głuchowskiej z krakowskiego Teatru Ludowego. Głuchowska wraz ze współscenarzystką Justyną Lipko-Konieczną postanowiły zrobić przebieżkę przez najnowszą historię Polski pisaną przez kobiety (kłaniają się Anna Walentynowicz i Henryka Krzywonos) i widzianą przez kobietę. Bohaterką spektaklu jest bowiem wzięta z „Seksmisji” Machulskiego Lania, tyle że obdarzona całkiem innym pochodzeniem. Całość w formie trudnej do nazwania, a tym bardziej do wytrzymania. Przyznaję, uciekłem po godzinie. Stugębna plotka mówi, że spektakl nie wejdzie do repertuaru sceny w Nowej Hucie.

Szela próbuje zmartwychwstać

Monika Strzępka i Paweł Demirski, choć nagrodę za „Tęczową trybunę 2012” dostali na koniec festiwalu, od początku byli na Boskiej Komedii traktowani jak artyści najbardziej oczekiwani. Tym bardziej że „W imię Jakuba S.”, które w Krakowie miało swą prapremierę, to pierwszy spektakl duetu przygotowany w Warszawie, w Teatrze Dramatycznym. Można więc było ekscytować się pytaniem, czy Strzępka i Demirski złagodnieją w stolicy, czy wielkomiejski establishment wyciągnie po nich brudne macki. A może przywalał mu na odlew, że na długo popamięta? Nie przywalił. „W imię Jakuba S.” to inscenizacja utrzymana w dotychczasowej stylistyce duetu, chociaż na szczęście mniej w niej doraźnego kabaretu. Rzecz dzieje się w dwóch planach czasowych – podczas powstania pańszczyźnianego i dziś, a Jakub S. to oczywiście Jakub Szela. Strzępka i Demirski próbują opowia-

dać o tym, że stroimy się w modne szaty, ale w duchu pozostaliśmy prostakami ze wsi, choć te prostaki bardziej szczerze od wielkomiejskich pięknoduchów. Że dzisiejsza klasa średnia ufundowana została na fałszu, że nasze wczasy w Egipcie to substytut prawdziwego życia. A kolejne kredyty to jedno wielkie oszustwo, by przez chwilę poczuć się lepiej. Kłopot w tym, że „W imię Jakuba S.” sprzedaje tylko prawdy oklepane, pod pozorem okrzyku szyderstwa i rozpaczy opisuje model już rozpoznany i opisany.

Postęp polega na tym, że obok różnej jakości skeczów i grepsów w teatrze Strzępki i Demirskiego wraz z postacią Jakuba Szeli (mocna rola Krzysztofa Dracza) pojawił się polski mit. Pojawił się, ale szybko został zagłuszony przez kilometr słów wyprodukowanych przez Pawła Demirskiego. Przekląć mnie, ale po ich ostatnim przedstawieniu twierdzę, że największy problem w teatrze Moniki Strzępki nazywa się Paweł Demirski.

Mickiewicz Gombrowiczem podszty

Mawia się, że festiwal jest udany, jeśli pojawi się na nim choćby jedno wybitne przedstawienie. Gdyby zasadę tę zastosować do cyklu z pomnikami w tytule, sprawę załatwił „Pan Tadeusz” Mikołaja Grabowskiego z krakowskiego Narodowego Starego Teatru, inscenizacja co prawda jeszcze nie wybitna,

ale znakomita, spektakl na miarę legendy tej sceny.

Grabowski z myślą o realizacji poematu Mickiewicza nosił się od dawna, ale zawsze coś stawało na przeszkodzie. W międzyczasie reżyserował między innymi kolejne „Opisy obyczajów” według księdza Kitowicza i „Dzienniki” Gombrowicza. Ślady tych fascynacji łatwo odnaleźć w „Panu Tadeuszu”. Nie podąży on niewolniczo za Mickiewiczowską fabułą i frazą (choć nie dopisuje wieszczowi niczego), dopuszcza przestawienia i znaczące skróty, ale kościć dzieła pozostał nietknięty. Tyle tylko, że Grabowski wraz ze współautorem adaptacji, Tadeuszem Nyczyńskim, czytali arcydzieło Mickiewicza wczoraj, zatem nie mogli udawać, że w Polsce wszystko jest pięknie, ładnie. Dlatego nie ma szczęśliwego zakończenia, ze sceny nie pada rytualne „Kochajmy się!”, całość zamyka spowiedź Jacka Soplicy. Wcześniej zaś jest opowieść utkana z nostalgii i ironii – po równo. Rzecz o współczesnych pielgrzymach, którzy wdzierają na siebie maski i stroje bohaterów poematu i sprawdzają, czy bardzo ich one uwierają. Bardzo to Gombrowiczowskie, ta gra formą, sprawdzanie, w jakim stopniu to forma właśnie czyni człowieka. I przejmujące, bo pielgrzymi od Grabowskiego w swojej wędrówce szukają Polski jako wspólnoty, a znajdują jedynie jakieś rusztowanie nieczynnego kościoła.

Wspólnoty nie ma, każdy idzie osobno – zdają się mówić autorzy krakowskiego spektaklu. Pozostają wspólne biesiady i rytuały, gry w pamięć, wywoływanie polskich duchów, oddychanie przeszłością. Nie bez przyczyny „Panu Tadeuszu” ton bez mała elegijny nadaje wspaniała muzyka Zygmunta Koniecznego, utrzymana w klimacie największych kantat Piwnicy pod Baranami.

Nie zamienia ona na szczęście przedstawienia Starego Teatru w wyprawę do krainy łagodności. Jest „Pan Tadeusz” jak trzeba gorzki i ironiczny, jest też w dużych fragmentach nieprawdopodobnie wręcz śmieszny. Duża w tym zasługa aktorów – Globisza, Peszka, Kosowskiego, Zawadzkiego, fenomenalnej w roli Telimeny Katarzyny Krzanowskiej. Jest tak jak w największych inscenizacjach na scenie przy Placu Szczepańskim. Młodzi grają z mistrzami i się od nich uczą, w zgodzie z tradycją Starego Teatru.

„Pan Tadeusz” pokazał, że rozczarowali się ci, którzy po Boskiej Komedii spodziewali się bezcerebralnego rozłupywania polskich pomników. Rzecz jasna, nikt ich nie budował od nowa, nikt na siłę nie konserwował. Artyści niż demolować woleli sprawdzać ich trwałość i oświetlać z różnych stron, czasem znajdując nieoczekiwane rysy. A zwolennicy demolki łatwo znajdują teatralne adresy, które są gotowe, by sprostać ich oczekiwaniom.



Czy „Pan Tadeusz” stanie się legendą sceny Starego Teatru?

Arka obcego

„W ciemności” kanałów Agnieszka Holland znalazła wszystko, co przyciąga nas do kina. To największy plus i zarazem mały minus jej filmu

KAROLINA PASTERNAK

W kanałach Lwowa rodzi się miłość, dziecko, ktoś umiera

trwać w kanałach aż do wejścia do Lwowa wojsk radzieckich. Naraża przy tym własne życie, życie rodziny, przyjaciela. Dlaczego? Holland nie daje prostej odpowiedzi. Chodzi o coś nieuchwytnego. Impuls. Może o to, że schodząc regularnie do kanałów, Socha żył się ze „swoimi” Żydami, jak o nich mówi. Że obcy ludzie stali się jego ludźmi. Lub po prostu dlatego, że skoro człowiek bez powodu może zdobyć się na zło, czemu nie miałby bez powodu wykażać się altruizmem?

W gorzkim i ironicznym zakończeniu filmu Holland nie pozostawia wątpliwości, czego jest na świecie więcej. I może o to tylko mam do niej mały żal. Że przez ponad dwie godziny pozwoliła nam zatapiać się w momentami naturalistycznej opowieści, ale w gruncie rzeczy napawającej optymizmem, skrojonej pod gusta hollywoodzkie (film ma duże szanse na oscarową nominację), by dopiero pod koniec uderzyć jak obuchem liczbami, faktami i fenomenalną, przynębiającą odautorską puentą.

Pięta gwiazdka jest więc nie tyle dla filmu, ile dla Roberta Więckiewicza. Szelmowski uśmiech na twarzy zastąpił mistrzowską mieszanką naiwności, uczynności i cwaniactwa, nauczył się bałaku i zagrał rolę Sochy tak przekonująco, że nawet zagorzały antysemita, patrząc na niego w tym filmie, uwierzy, a może i zrozumie, że Polak mógł bezinteresownie pomagać w czasie wojny Żydom. Majstersztyk!

„W ciemności”, reż. Agnieszka Holland, Niemcy/Kanada/Polska 2011, Kino Świat, 145', premiera 5 stycznia

14 miesięcy – tyle zmuszeni byli żyć w klaustrofobicznych, zalanych cuchnącymi ściekami i pograżonych w egipskich ciemnościach kanałach pod okupowanym przez hitlerowców Lwowem żydowscy uciekinierzy z tamtejszego getta. Stateczne małżeństwo, dwójka dzieci, młodzi kochankowie, narkoman, samotna kobieta Klara (świetna Agnieszka Grochowska) i podkochujący się w niej Mundek, niepisany przewodnik podziemnej arki Noego. Taki skład tej grupy podyktowało życie – scenariusz oparty jest na bazującej na faktach książce „W kanałach Lwowa” Roberta Marshalla, ale rozwijające się w niej

emocje i konflikty to już iście filmowa materia. W podziemiach rodzi się miłość i... dziecko, ktoś umiera, ktoś zdradza, ktoś poddaje się bez walki, inni zaś, wbrew ohydzie otoczenia, wystawiają spektakl, śpiewają piosenki. Jesteśmy w stanie przystosować się dosłownie do każdego warunków. W każdym warunkach wyłazi z nas dobro i zło, altruizm i podłość – zdaje się mówić reżyserka. Symultanicznie bada granice wytrzymałości człowieka i zastanawia się nad pochodzeniem dobra. Brzmi to szumnie, ale nie zapomnijmy, że za kamerą stoi twórczyni „Kobiety samotnej”, „Olivier, Olivier”,

„Całkowitego zaćmienia”. Holland jest mistrzynią w opowiadaniu o wielkich sprawach od małej litery, blisko człowieka.

Tu odpowiedzi na pytanie, co pcha ludzi do heroicznych czynów, szuka więc w także autentycznej postaci drobnego złodzieja, ale i poczwica, lwowskiego kanalarza Poldka Sochy (Robert Więckiewicz), który we wspomnianej arce miał odegrać rolę Noego. Początkowo licząc na wynagrodzenie od Żydów, później od Boga, a na sam koniec już kompletnie nie wiedząc czemu pomaga uciekinierom najpierw wydostać się z getta, a później prze-

Człowiek z przeszłości

Komediodramat o „Człowieku z Hawru” bardzo was ogrzeje

Najnowsza opowieść Akiiego Kaurismäkiego to filmowy odpowiednik filiżanki kakao z pianką: krzepiącego, ciepłego, trochę staroświeckiego. I pysznego. Jest to przede wszystkim pięknie wystylizowana bajka o świecie biednym i skromnym, ale pozbawionym zła i okrucieństwa, gdzie sąsiedzi wspierają się nawzajem, sklepikarze zawsze dadzą coś na kredyt, a każdy dzień ma swój ustalony, bezpieczny rytm.

„Człowiek z Hawru” to drugi film fińskiego reżysera nakręcony

po francusku i zdecydowanie pogodny. Głównym bohaterem jest mieszkający w nadmorskim Hawrze Marcel Marx, dawniej artysta, obecnie pucybut. Ale taki, który nigdy nie zostanie milionerem. Jego największym kapitałem jest żona, dbająca o ich wspólny dom, oraz lokalna społeczność portowego miasta. Marcela wybija z rytmu dopiero choroba małżonki oraz nieproszony gość: kilkuletni uciekinier z Afryki, ułożony i władający solidną francuszczyzną chłopiec, którym mężczyzna, chcąc nie chcąc, zaczyna się opiekować.

Poważny temat (Europa Zachodnia wszak od lat zmaga się z problemem nielegalnej najczęściej emigracji) nie wprowadza na ekran mroku, już prędzej odsyła do kina noir – policjant tropiący Marxa wygląda tu jak postać z filmu Jeana-Pierre'a Melville'a. Kaurismäki nie poprzestaje jedy-

nie na eleganckiej stylizacji, tylko z niesamowitym ciepłem, ironią i przenikliwą inteligencją opowiada o świecie, w którym dobro zawsze będzie ciekawsze od zła. Takim, którego od dawna już nie ma. Albo takim, który zawsze istniał tylko w kinie.

OLA SALWA



Uroczko naiwny pucybut z żoną. Swoim największym skarbem



„Człowiek z Hawru”, reż. Aki Kaurismäki, Finlandia, Francja, Niemcy 2011, 93', Gutek Film, premiera 6 stycznia

FOT: KINO ŚWIAT



The Roots – hip-hopowcy z klasą

FOT: UNIVERSAL MUSIC

Mama potrafi

Ten nie do końca premierowy materiał momentami miło zaskakuje

16 lipca zeszłego roku przyszedł na świat Joe Attal. To już trzecie dziecko Charlotte Gainsbourg i reżysera Yvana Attala – gratulujemy mamie i tacie. Nie będziemy się więc czepiać specjalnie jej nowego wydawnictwa „Stage Whisper”. Prawdą jest, że to pozostałości z sesji nagraniowej do albumu „IRM”, kilka nowych piosenek, między innymi z Charlie Finkiem (Noah and the Whale), Conorem O'Brienem (Villagers) i Connanem Mockasinem oraz zapis koncertu z ubiegłorocznej trasy koncertowej. Ale ciągle są to dobre utwory. Zwłaszcza nagrane jeszcze z Beckiem zmysłowe „Paradisco” trudno określić mianem „odpadu z sesji”. Podobnie leniwy duet „Go to let Go”

z Charlie Finkiem i delikatne „Out of Touch”.

Jeśli komuś będzie za mało wrażeń, to może wrzucić do odtwarzacza drugi krążek z tego zestawu i przypomnieć sobie, jak piękna pani Gainsbourg śpiewała 29 czerwca 2010 roku w Poznaniu. A potem zostanie uzbudzić się w cierpliwość, bo pewnie prędzej zobaczymy ją znów na ekranie u boku Petera Doherty'ego niż na scenie.

JACEK SKOLIMOWSKI



Charlotte Gainsbourg, „Stage Whisper”, Because Music/Warner

Konceptyjnie świetni

Niewielu rzeczy na świecie można być pewnym tak jak niezmiennie wysokiej formy The Roots

BARTEK WINCZEWSKI

Trwa w najlepsze komitywa The Roots ze sceną folkowej alternatywy. Na poprzednim albumie, wydanym zaledwie półtora roku temu kapitalnym „How I Got Over”, filadelfijscy gościli Joannę Newsom i muzyków supergrupy Monsters Of Folk. Tu poszli jeszcze dalej, bo pomiędzy swoje nowe utwory wplekli dawną instrumentalną kompozycję Sufjana Stevensa, zagrana zresztą przez samego autora.

To kolejny dowód na to, że dla liderów The Roots – rapera Black Thoughta i perkusisty Puestlove'a – oraz szóstki ich kolegów hip-hop jest zaledwie punktem wyjścia do dalszych muzycznych poszukiwań, z płyty na płytę coraz odważniejszych, a momentami zdrowo bezkompromisowych i zaskakujących.

Weźmy finał „undun”. Wspomniana fortepianowa miniatura Stevensa

otwiera czteroczęściową minisuitę, w której współcześnie ujęta muzyka klasyczna zderza się z jazzową awangardą.

Wcześniej wprawdzie Amerykanie w charakterystyczny dla siebie sposób grają najlepszy „żywy” hip-hop na świecie, ale to hip-hop zupełnie inny od wystawnych produkcji gwiazd głównego nurtu. Inny, bo oszczędny i malowany w dość ciemnych barwach. No, ale skoro na tym pierwszym koncept albumie w swoim dorobku The Roots postanowili opowiedzieć tragiczną historię pewnego młodzieńca zabitego przez handel narkotykami, wiadomo było, że wesoło nie będzie.



The Roots „undun”, Def Jam

Mistrzu!

Reznor na dobrej drodze do zostania nadwornym kompozytorem Lyncha

Trent Reznor jest równie wielkim mistrzem budowania napięcia jak jego przyjaciel David Fincher. Jeszcze kilka lat temu chciał walczyć z przemysłem muzycznym. Odgrażał się, że zamknie studio, wyprzeda sprzęt i zakończy działalność Nine Inch Nails. Słowa dotrzymał tylko w części – zespół rzeczywiście rozwiązał, ale zaczął karierę pod własnym nazwiskiem i na początek zgarnął Oscara za ścieżkę dźwiękową do „The Social Network”.

David Fincher zamówił więc u niego muzykę do kolejnego swojego obrazu „The Girl with the Dragon Tattoo”. Rzucony na zachętę cover Led Zeppelin „Immigrant Song” nagrany z wokalistką Yeah Yeah Yeahs Karen O nie powi-

nien was zmylić, to nie jest zestaw popowych piosenek. Reznor czuje się pewnie w roli poważnego kompozytora. Spod palców wyszło mu znacznie dłuższe i spójniejsze dzieło niż poprzednie, bliższe ambientowym eksperymentom z „Ghosts I-IV”. Nawet bez obrazu działa na wyobraźnię – tylko czekać, jak Trent dostanie propozycję od Davida Lyncha.

JACEK SKOLIMOWSKI



Trent Reznor & Atticus Ross, „The Girl with the Dragon Tattoo”, The Null Corporation

FOT: GUTEK FILM



ŁADNE RZECZY

OLA SALWA

Nosiciele fantazji

Skoro natura zignorowała zimę, małpujemy ją i chodzimy w wiosennych strojach. Po domu i na imprezy



Maldoror jak Rei Kawakubo ma dla panów spódnice



Rusałka Bohoboco: z topieli na imprezę

Sezonowość w modzie już dawno nie obowiązuje, wystarczy spojrzeć na jesienno-zimowe kolekcje większości projektantów: cienkie, lekkie i zwiewne, które można nosić tylko w mocno nagrzanym biurze lub w pokojach z kominkiem. Oczywiście na wybiegach pojawiają się też swetry, kurtki, płaszcze i futra, ale w nieciekawych proporcjach. W zeszłym roku polska pogoda zestroiliła się z modą i olała tradycyjne zasady: lato było chłodne i deszczowe, jesień prawie upalna, a zima nie zachęca do noszenia puchówek ani rękawiczek. A my, zamiast płakać po beznieżnych świątach i wilgotnym Nowym Roku, łapiemy za wiosenno-letnie kolekcje polskich projektantów. Radykalni chodzą w nich do pracy, na ulicy i gdziekolwiek bądź, mniej rewolucyjni – zakładają wieczorami. Swoją drogą, przeglądając ofertę konfekcyjną

Jak przebierać się za strzygi, to tylko w duecie. Projekty Pauliny Plizgi



FOT. ŁUKASZ SZELĄG/FASHION WEEK POLAND (2), SERWIS FASHION WEEK POLAND (4)



Strasznym panowie dwaj: zakapturzony i z morderczym wzrokiem



Bohoboco, Pauliny Plizgi czy Maldorora, doszliśmy do wniosku, że ich stroje idealnie nadają się na przebranie imprezy karnawałowej. Kłopot z tymi ostatnimi jest właściwie tylko jeden: czasem na miejscu się okazuje, że wszyscy przyszli „normalnie” ubrani, a tylko my nie zauważyliśmy na Facebooku zmiany statusu przyjęcia z kostiumowego na zwykłe. Zdarzyło się to Bridget Jones, która świeciła przez całe popołudnie króliczym tyłkiem, naszym przyjaciołom przebranych za łosie i członkinie Abby oraz nam samym, gdy nie doczytaliśmy, że przyjęcie urodzinowe inspirowane „Alicją w Krainie Czarów” nie wymaga stroju halucynogennego grzyba. Mając na sobie ubrania polskich projektantów, nie musimy obawiać się ryzyka ośmieszenia. Po pierwsze przychodzi elegancja spóźnieni, gdy wszyscy są już w bardzo lekkich nastrojach i gdy mamy przed sobą przekrój towarzystwa, wiemy zatem, czy są przebrani, czy tylko ubrani (choć czasem jedno od drugiego niewiele się różni). Gdy impreza okazuje się nieprzebrana, prostujemy plecy i robimy minę osoby ekscentrycznej, która zawsze nosi się ciekawie/intrygująco/modnie. Jeśli na miejscu zastajemy tłumy dzikich zwierząt, postaci filmowych oraz baśniowych, szybko dorabiamy ideologię do naszego stroju i mówimy, że przebraliśmy się za zasłonkę od prysznicy, podarte rajstopy, święto wiosny albo kolor turkusowy. W końcu fantazja to nasz ulubiony imprezowy dodatek. ●

KRZYŻÓWKA NR 1

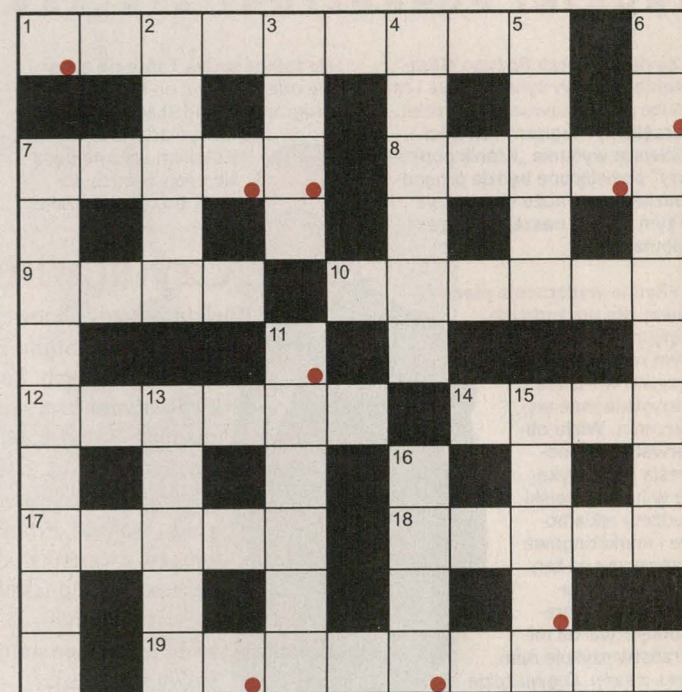
Litery z oznaczonych pól czytane poziomo utworzą wyraz-rozwiązanie.

POZIOMO:

- DOBRZE URODZONY
- Z MŁODEJ PIERSI
- KWIATOSTAN
- LADY GAGA NIE DYGA
- ROZDEPTANA PRZEZ GODZILLĘ
- INICIACJA W AUCIE
- STOI NA DWORZE
- PROWADZI DO POKOJU
- MROŻONY HALI BUT
- SZUKA JAJKA

PIONOWO:

- AŻ SIĘ KURZY
- WYBIJANY Z GŁOWY
- SPRZEDAWANY W KAWALACH
- JEGO OJCIEC ZAMIEIŁ SIEKIERKĘ NA KIJEK
- TO WSZYSTKO JEJ WINA
- NAUKA OD BYTU
- WÓDKA W LESIE
- SZUKA OFIAR W SIECI
- NADZIENIE DO KURCZAKA



Wygraj jeden z 10 bonów. Rozwiąż krzyżówkę i prześlij do nas hasło. Wyślij sms o treści PRZEKROJ.HASLO KRZYZOWKI na numer 7243. Rozwiązania możesz także przysłać na kartce pocztowej (decyduje data stempla) na adres: Presspublica Sp. z o.o. ul. Prosta 51 00-838 Warszawa, z dopiskiem: „krzyżówka 1”. Na prawidłowe rozwiązanie czekamy do 8 stycznia 2012. Koszt sms-a: 2 zł netto/2,46 zł brutto.

ROZWIĄZANIA Z NR. 49

Krzyżówka: EMANCYPANTKI

Poziomo: 1. PISAŁ TEKSTY 2+1 – MATEMATYK 7. DZIEWIĘĆ MIESIĘCY PRZED BLIŹNIĘTAMI – PANNA 8. CZĘŚĆ ROKU – GRUPA 9. JEDNOSTKA SIŁY – GROM 10. BABIE Z WOZU PO NIM LŹEJ – DYSEL 12. ZDRADZONY PRZEZ NAUCZYCIELKĘ – TAJNIK 14. MOŻE UTKWIĆ W PAMIĘCI – GROT 17. WYCIĄGA RYBY DO WODY – WYWAR 18. MOŻE BYĆ – DOBRA 19. PODNOSI GŁOS – REGULATOR

Pionowo: 2. DRAMAT DLA DWOJGA – TANGO 3. CO CHCIAŁ MIAŁ 4. WRÓG RUDEGO – TYGRYS 5. KIEDYŚ SIĘ DOBIBI – KILICZ 6. NAJPOPULARNIEJSZY PRODUKT Z JABŁKIEM – SZARLOTKA 7. PRACA PRZY WYPADKU – POGOTOWIE 11. NADZIENIE KAPUCHA – PIERÓG 13. DRZEWO LAUROWE – JAWOR 15. POMAGA MAMIE W KUCHNI – ROBOT 16. GDZIE CYGAN CHWALI – IDOL

SKLEP INTERNETOWY

amazonka.pl

książki, muzyka, filmy, gry

Ponad milion tytułów. Najniższe ceny w Internecie. Dostawa w 24 godziny.

www.amazonka.pl

Nagroda za rozwiązanie krzyżówki jest 10 bonów – o wartości 50 zł każdy – na zakupy w sklepie internetowym www.amazonka.pl

Dane osobowe uczestników konkursu w zakresie: imię, nazwisko i adres zamieszkania, numer telefonu stacjonarnego lub komórkowego będą przetwarzane przez organizatora konkursu, tj. Presspublica Sp. z o.o., ul. Prosta 51, 00-838 Warszawa, w celu realizacji umowy przystąpienia do konkursu i jego prawidłowego przeprowadzenia lub marketingu własnych produktów lub usług organizatora konkursu. Gwarantujemy prawo wglądu do swoich danych osobowych oraz ich poprawiania, jak również żądania zaprzestania przetwarzania danych. Podanie danych jest dobrowolne. Dane osobowe nie będą udostępniane innym podmiotom. Regulamin konkursu został wyłożony do wglądu w siedzibie organizatora konkursu.

LAUREACI Z NR. 48

Grażyna Błażejowska, Legnica; Edward Chojnacki, Poznań; Radosław Korzeniowski, Strzelce Krajeńskie; Radosław Kwieciński, Leżajsk; Włodzimierz Mytnik, Kraków; Jacek Najdecki, Warszawa; Monika Perek, Kłodzko; Grażyna Piaskowska, Lubusz; Magdalena Tarasiewicz, Warszawa; Iwona Tomas-Pacek, Toruń

BRACIA M

BARTOSZ I TOMASZ MINKIEWICZ

WWW.FACEBOOK.COM/WILQSUPERBOHATER



KRONIKI POPKULTURY STASZKA TRZCIŃSKIEGO

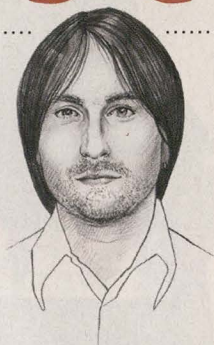
Za nami święta Bożego Narodzenia, zabawy sylwestrowe i rozmaite podsumowania 2011 roku. Zaczęliśmy magiczny rok 2012. Niniejsze wydanie „Kronik popkultury” poświęcone będzie prognozom tego, co może się zdarzyć w tym roku w naszej kulturze popularnej.

Wielkie wydarzenia plenerowe. Nie ma żadnych wątpliwości, że w nowym roku Euro 2012 przyćmi w Polsce wszystkie inne wydarzenia. Wielu obserwatorów podkreśla niespotykane w historii Polski budżety reklamowe i marketingowe szykowane na ten okres. Fascynujące, jaką to ceremonią otwarcia mistrzostw szykuje nam UEFA z PZPN. O gwiazdziejście dance z Niemiec – Oceanie – nie warto nawet wspominać. A sam mecz z Grecją? Będzie raczej mierzalnym widowiskiem. Typuję wymęczony remis 0 : 0.

Wielkie formaty telewizyjne. Przetrywają przynoszące kro-

cie talent show. Tańce na antenie odejdą raczej do lamusa, ale programy o modelkach powinny się utrzymać. Za to formaty okołomuzyczne będą się miały bardzo dobrze, bo tak też dzieje

się, że TVN i TVP cały czas będą zaskakiwały takimi korektami, Polsat niekoniecznie. Pytanie dodatkowe: czy powiedzie się ostatecznie eksperyment dyrektora TVP2 Jerzego Kapuścińskiego i prezesa TVP Juliusza Brauna wzmocnienia kultu-



Czy stanie się cud?

Wielkie gwiazdy filmowe. Jest nieźle. Więckiewicz, Szyc, Karolak, Gierszał, Stuhr, Boczarska, Ostaszewska, Gąsiorowska i wiele innych. Zastanawiam się jednak, na ile możliwy jest *come back* starych lub nieco starszych, a sprawdzonych nazwisk. Marnujących się zbyt długo. Przykłady: Linda, Baka, Lubaszenko, a także Chyra i Gonera. Szykują się także megapremiery: „Bitwa pod Wiedniem” oraz „Waleśa”. Pytanie numer 1. Czy może w 2012 roku **MAREK KONDRAT** odwoła swoją obietnicę o wycofaniu się ze sceny i jednak wystąpi w jakimś znaczącym projekcie artystycznym – w filmie fabularnym albo w teatrze telewizyjnym? Może stanie się cud i powstanie jakiś odjazdowy scenariusz?

się w otaczającym nas świecie. A my w Polsce wyłącznie kopiujemy to, co tam się uda-

je. I tutaj pytanie: czy nastąpią zmiany w ukochanych przez Polaków składach jurorskich? Wydaje

ry na antenie telewizji publicznej? Trzymam kciuki za powodzenie tej operacji.

Wielkie afery medialno-kolorowe. A gdyby tak nagle Polacy przestali czytać te bzdury i plotki o sław-

nych, pięknych i bardzo bogatych? Gdyby tak przestali doceniać starania generujących te śmieciowe newsy quasi-reporterów, quasi-redaktorów i quasi-fotoreporterów? Gdyby tabloidy przestały mieć swoich odbiorców? Jeżeli nie z powodu wyższego poziomu intelektualnego narodu, to może z powodu uzmysłowienia sobie przez masę, że są to zwykłe budy i nabijanie w butelkę. Może nie byłibyśmy wtedy zawstydzani głupimi newsami o życiu nocnym Borysa Szycy albo rewelacjami o Kaziku Staszewskim, który miałby zasiadać za 300 tysięcy złotych w jury „Bitwy na głosy” (artysta zdementował w mailu do redakcji przekazaną przeze mnie za „Faktem” kompletną, jak się okazało, bzdurę na ten temat). Wydaje mi się, że nie wierzyście w taki scenariusz. Ja także w niego nie wierzę. Gorzej, intuicja podpowiada mi dokładnie odwrotny proces. Będzie raczej coraz gorzej i coraz głupiej.

JEDNO DANIE ADAMA GESSLERA

Warto było czekać na rok 2012

mistrzostwach, później zaczyna się igrzyska olimpijskie. W tym roku Londyn będzie ich siedzibą. Tam jest moja restauracja Gessler at Daquise. W niej będę gotował gościom igrzysk... Wreszcie mój Francuz 1 kwietnia 1912 roku otwarty, w tym roku będzie miał 100 lat. Zamierzam wydać obiad dla wszystkich stulatków Krakowa, a jest ich, jak słyszałem, 168. Wystawię zatem stół od hotelu po Rynek. Wtedy też będzie 25-lecie mego restauratorstwa. Pierwszą restaurację otworzyłem w kwietniu 1977 roku.

I co? Prawda, że szczególny rok? Skoro tak, no to może spróbujmy opowiedzieć o menu, które układam na stulecie Hotelu Francuskiego... Tu w Krakowie mówią o nim „nasz Ritz”. Najpierw podam śledzia w lnianym oleju z kieliszkiem wódki Jana Romana Potockiego. Później faszerowanego szczupaka z sosem tatarskim. Następnie wędzonego karpia za-

torskiego ze struganym chrzanem. Potem zupę migdałową, która otwierała pierwsze menu mego hotelu. Następnie sorbet z wódki gorzkiej z miodem i suszonymi śliwkami – ulubiony sorbet Aleksandra Rittermana, budowniczego i pierwszego właściciela tego hotelu. Potem jego ukochane grzanki z mózdzkiem cielecym. Do nich kieliszek porto, kolejny do przekąski Gessler (pamiętacie państwo, połędwica smażona na maselku z cebulką). Następnie filiżanka grzybowej mazurskiej zupy (tej od państwa Worobiec. To ta zupa, w której grzyby gotujemy w kwasie z kapusty). Do niej pierożki z soczewicą. Po niej, jako że to kwietnia początek i rzecz dotyczy Hotelu Francuskiego, to naturalnie zając pieczony w śmietanie podany z buraczkami. Jemu towarzyszyć będzie miłe wino z okolic Saint-Émilion. To w końcu francuskie przyjęcie. Po zającu z kolejnym kieliszkiem tego wina podamy najgenialniejsze

na świecie sery owcze dojrzewające Romana Kluski. Potem tort czekoladowy z kieliszkiem nalewki z białych kwiatów czarnego bzu. I przez cały czas, bo to sto lat, szampan. Szampan z malutkiej piwnicy państwa Mathieu-Gosztyła z Szampanii. Taki polsko-francuski mariaż.

Powiedzcie państwo sami, czy nie warto było czekać na ten rok 2012? Mickiewicz o roku sprzed dwustu lat i o wizycie nomen omen Francuza Napoleona w Polsce księgę w „Panu Tadeuszu” zaczynał słowami: „O roku ów...”. Ja o moim dokończę: „...doczekałem się”. Państwa na ten rok zapraszam i do stołu proszę być. Dziś w miejsce jednego dania menu całego przyjęcia. Niech i taki cały rok będzie. Pełny przyjęć.

Wcześniejsze felietony Adama Gesslera zebrano w tomie „Smaki na 52 tygodnie”. Już do nabycia w księgarniach.



Fot. Bettmann/Corbis

Na wysokościach

Jedli je serialowi Przyjaciele, Simpsonowie, ludziki Lego i włoski raper Jovanotti. Najślawniejsze drugie śniadanie w historii fotografii

KUBA DĄBROWSKI

Nowy Jork, rok 1930, na Manhattanie trwa budowlany wyścig. Inwestorzy ścigają się, kto wybuduje najwyższy budynek świata, kto najbardziej okazały, a kto najbardziej nowoczesny. Drapacze chmur w stylu art déco powstają w błyskawicznym tempie, w niepewnych czasach kryzysu nieruchomości są pewną inwestycją. John D. Rockefeller Junior, milioner i filantrop, również włącza się do tych zmagani. Na wydzierżawionej w 1928 roku działce rozciągającej się od Piątej do Szóstej Alei w ramach daru dla miasta planował zbudować gmach Metropolitan Opera. Jednak w obliczu zapaści finansowej decyduje się na nieruchomości, która najzwyczajniej w świecie będzie na siebie zarabiała.

Kompleksu biurowców nazywać się będzie Rockefeller Center. W ciężkich czasach prace ma tam znaleźć aż 40 tysięcy osób!

Rockefeller wie, że stworzenie budynku-legendy to zadanie nie tylko dla architektów i inżynierów, lecz także dla specjalistów od PR. Jedną z jego pierwszych decyzji jest zatrudnienie oficjalnego fotografa budowy - zdjęcia do prasy dostarczać trzeba, a wpuszczanie na rusztowania redakcyjnych reporterów może skończyć się tragedią.

Dokumentalistą inwestycji zostaje Charles C. Ebbets. Ma za sobą kolorowy zawodowy życiorys: zanim został fotografem, pracował między innymi jako aktor w tanich filmach akcji, był pilotem, akrobatą lotniczym, zapaśnikiem i myśliwym. Karierę reportera zaczął jako oficjalny fotograf mistrza świata wagi ciężkiej

Jacka Dempseya... Ma „wycucie publiczności” i nie boi się wysokości.

Ebbets na rusztowaniach czuje się jak ryba w wodzie, znajduje wspólny język z robotnikami - głównie imigrantami z Europy i Indiami. 29 września 1932 roku wykonuje swoje najślawniejsze zdjęcie - budowlanców jedzących drugie śniadanie na stalowym dźwigarze, na wysokości 69. piętra.

Zajadają kanapki, jakby siedzieli na ławce w parku, a nie na wysokości 250 metrów. 2 października w niedzielnym dodatku fotografię reprodukuje „New York Herald Tribune”, zaczyna się jej światowa kariera. Pojawiają się plakaty, pocztówki, magnesy... - Ebbets nie zarabia na nich ani centa, w ramach umowy oddał inwestorowi wszystkie prawa do wykonanych na budowie zdjęć.



Poczuj się świetnie,
włóż szpilki

MODA

CIEKAWSZA STRONA KOBIECOCI

kobieta.wp.pl

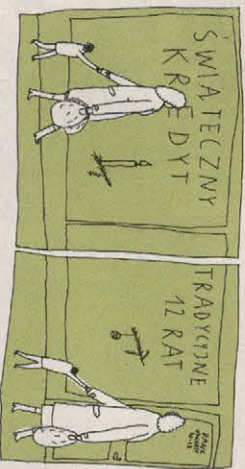
Z N O W U R O Z M A I T O Ś C I

RACZKOWSKI
NA KONIEC



www iPad Archiwalne numery „Przekroju” można (a nawet powinno się) przeczekać na www.przekroj.pl oraz w aplikacji „Przekroju” na iPadzie dostępnej w App Store

NIE TAK: JAN KOZA



TWÓJ PRZEKRÓJ



www iPad Zdołny i młody (duchem, a nawet ciałem) Czyrelinku. Twój Przekroju” to miejsce dla Ciebie. Wyślij nam swoje prace i, podważ się. Najlepsze opublikujemy. Czekamy na www.przekroj.pl oraz pod adresem twoj@przekroj.pl, a także na Facebooku – Fan Page „Twój Przekroju”

RETROSPJEKJA

„PRZEKROJ” z 4 STYCZNIA 1956 ROKU

OKAZJA

„Słowo Polskie” z dnia 24. XI zamieściło pomysł o OKAZJACH. Sprzedam inkubator na 1600 zł na chodzie. Zeby tylko nie wyszedł na miasto. (Nadesłał: T. Wójciszewski)

„Przekroju” z 3 STYCZNIA 1954 ROKU

ZWIERZĘTA FUTERKOWE

„Nowy Rzeczownik” z 24. XI zamieścił podział futerki na krowianek, par-ku, miekajki. Na pokazie opłatać będzie matura, jasy, kraduki, nocki, ehożra, pismaki, dębs, ku-ry, gęś, kaczki, indyki. Takie futro z kaczki albo pelisa z indyka to jest coś! (Nadesłał: A. K.)

KINOTEATRZYK
PRZEMKA JURKA

Sylwester w Nowym Jorku

(karnawałowa komedia nietermantyczna produkcji krajowej)

Występują: ONA & ON – czyli zakochani bez pamięci
Zbliżenie. Ona & On przymyka ją oczy. Przenikanie do: Nowy Jork. Centrum Manhattan. Muzyka, radość; w tle – kolorowe fajewerki.
or (pewnie): Kocham cię.
ona (bez wahania): I ja cię Kocham.

Poculunek. Muzyka. Ona & On otwierają oczy. Nagle dzieci do: Poznań. Centrum. Dziaki tłum, szkło na chodniku, wrzaski.
Na scenie – Paweł Stasiak z zespołem Papa D.
KURTYNA opada z zimną satysfakcją.

PROSINY NIE POWTRZĄD

Nasze prośby tak się osłaniają, że nie ma już nic, co nie spotyka. Tym, że się spotyka na podleg.

„PRZEKROJ” z 2 STYCZNIA 1980 ROKU

ROMAN KURKIEWICZ

Szczęśliwisko

Poeta Wystan Hugh Auden ułożył lapidarną ankietę o warunkach ziszczenia marzeń o szczęśliwości, dla niektórych raj. Wypełniam ją noworocznie



LEMO
MYSLNIE

P ejaż: Zmienny, dostosowany do naszego stanu ducha. Kiedy za spokojnie – góry, kiedy wszystko drzy – rozległe, przestrzenne łagodności z dużymi płamami wód. Czasem słonych, często słodkich. Dla niektórych z miastem w tle. Klimat: Szaleje. Reakcje społeczeństw spóźnione, obserwacje skokowych zmian klimatu są stałym elementem rozmów i obaw, niestety. Podrodzenie etniczne mieszkańców: Zewsząd. Ale jakiś czas w roku (tydzień?) spędzamy w miejscu, gdzie wszyscy oprócz nas są tacy sami. Identyfikacja kolor skóry, jedna religia, jeden klub piłkarski, jeden język dawny, ten pierwszy. Wagi i miary: Nie ma. Jeśli czegoś potrzebujemy, to wiemy ile. Węcej nie trzeba. Religia: Znajdą ją badacze. Lubimy posłuchać, czym była. Żeby się zadumać, bać, żeby się nie dać skusić. Potem wracamy do codziennych ćwiczeń i mych i procedury. Forma rządów: Wszystkie decyzje i procesy decyzyjne są jawne. Debaty mają różnorodne formy: kameralne, miejskie, wiejskie. Ogólnokrajowe i globalne. Karty wyborcze już nie istnieją, głosujemy na hologramowym, spersonalizowanym blysku. Naturalne źródła energii: Naturalne – dokładnie to, co oznacza to słowo. Wytworczość gospodarstwa: Wszystko jest, bo zniknęła kategoria wzrostu jako jedyniej racji rozwoju. Jest przyspieszenie albo wycofanie, jest nowe, ale nie ma przynajmniej produkcji. Srodki transportu: Własne nogi, pojazdy napędzane siłą mięśni, a do dalszych podróży kule wędrowne, rodzaj jedno- lub wieloosobowych wehikułów, wszystkie są publiczne, a korzystamy z nich, jakby były na własność. Urnebowanie i wyposażenie mieszkań: Jest wolność zagracania i wolność minimalizmu. Sprzęty mogą być nowe, drukowane na domowych drukarkach 3D, mogą pochodzić z targów starych. Można ich nie mieć. Strój oficjalny: Nie istnieje. Każdy istniejący jest oficjalny. Albo: tylko ten, w którym dobrze się czujesz, jest oficjalny. Źródła informacji publicznej: „Przekroju”. Ale można go też nie czytać. Niektórzy zawierają krótkie teksty na słupkach. Inni pstrykają palcami i mają przed sobą ekran. Mogą doprytać, jeśli coś jest niejasne. Zostanie wyjaśnione. Publicznie. Rozrywki publiczne: Rozmowy, wspólne milczenie i tyśnięcie innych zajęć, w których bierze się udział osobiście. Nie ma kibicowania, podglądactwa, podpatrywania.

Zacmienie umysłu tym się różni od zacmienia Słońca, że zdarza się znacznie częściej i nie sposób go przewidzieć.

MYŚLNIK
KRZYSZTOFA
BILICZY

zelli rozlicze

KACH

ników. Poz. 120 i 121 wypełniają podatnicy,
drat nr 2, należy wypełnić poz. 122.

-3	G. OBLICZENIE ZOBOWIĄZANIA PODATKOWEGO		PIT-2K
	PIT/O	PIT/D	118.
	116.	117.	

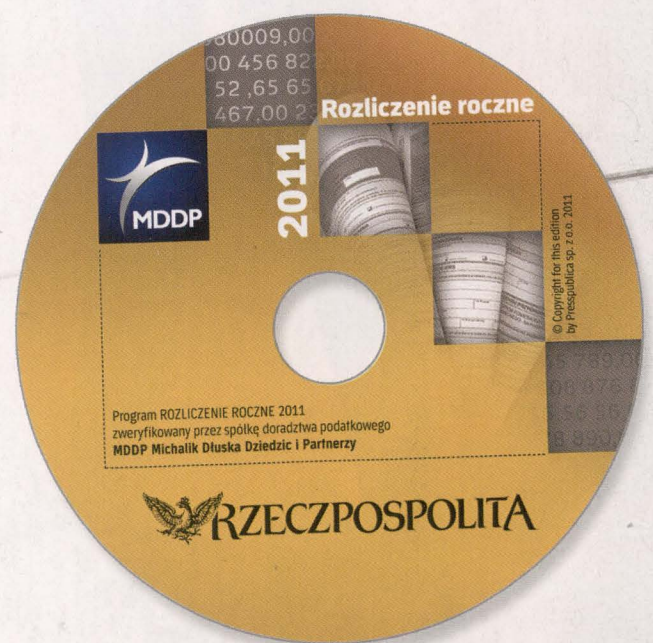


ad, do którego został złożony załącznik PIT/D

Nie wpadnij w pułapkę przy rozliczaniu PIT'u

Skorzystaj z pomocy ekspertów. Sprawdzony program „Rozliczenie roczne 2011” pomoże Ci bezbłędnie wypełnić właściwy PIT oraz rozliczyć ulgi.

Płyta z programem w **poniedziałek, 2 stycznia** tylko z „Rzeczpospolitą”



Wydanie z płytą dostępne w punktach sprzedaży oraz dla prenumeratorów Pakietu Plus.

Program ROZLICZENIE ROCZNE 2011 zweryfikowany przez spółkę doradztwa podatkowego MDDP Michalik Dłuska Dziedzic i Partnerzy



rp.pl/hity

